PISMA STEFANA ŻEROMSKIEGO

PIERWSZE WYDANIE ZBIOROWE

UTWORY PUBLICYSTYCZNE

WARSZAWA — MCMXXX — KRAKÓW
WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA
TOWARZYSTWO WYDAWNICZE W WARSZAWIE

Inter arma

Stefan Żeromski

J. Mortkowicza, Warszawa, 1930

Pobrano z Wikiźródeł dnia 22 września 2025

S T E F A N Ż E R O M S K I

I N T E R A R M A

WYDANIE DRUGIE

WARSZAWA — MCMXXX — KRAKÓW
W Y D A W N I C T W O J. M O R T K O W I C Z A
TOWARZYSTWO WYDAWNICZE W WARSZAWIE

SPIS RZECZY:

Str.

Francja	3
Iława — Kwidzyn — Malborg	11
Towarzystwo Przyjaciół Pomorza	47
Na probostwie w Wyszkowie	53
Sambor i Mestwin	71

DRUKARNIA NAUKOWA T-WA WYDAWNICZEGO W WARSZAWIE
RYNEK STAREGO MIASTA 11

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Stefan Żeromski.*

FRANCYA

«*Ten oto cmentarz nie jest odpocznieniem wiecznem dla starości i choroby. Jest to cmentarz, pełen mężczyzn młodych i potężnych. Można odczytać imiona ich na setkach małych krzyżów, gęsto ścieśnionych, które bezgłośnym chórem wciąż powtarzają:*

«*Jest coś cenniejszego, niż życie, jest coś bardziej niezbędnego, niż życie... skoro my tu jesteśmy*».

Georges Duhamel:
Vie de Martyrs (1914—1919).

Ponad rozkwit młodego życia — cóż jest cenniejszego na ziemi? Ponad okrucieństwo zgaszenia przemocą światła, które dopiero płonąć zaczęło, — jakież jest okrucieństwo?

Cóż głębiej serce ludzkie poraża nad widok przedwczesnej młodzieńca mogiły?

Obojętna murawa i kwiat niczego niepamiętny, — bardziej i wymyślniej bez litości, niż glina jałowa, — tam, gdzie płomienne biło serce, gdzie się ogień wzroku palił i uśmiech radosny ozdabiał usta rumiane.

Gruby pokład ziemi czarnej i kamień nieudźwigniony zaciska i dusi na wieki żywotwórczość oddechu.

Niema nigdzie pociechy na ziemi i niebie dla oczu matki, które murawę i kwiaty na grobie syna łzami polewają. Niema pociechy dla ojca, co, drogami życia wędrując, kamień, przyciskający serce synowskie, na żywem sercu dźwiga. Przenigdy już nie rozraduje duszy ich nowa wiosna, ni wino ziemskie zapomnienia, ni wino niebiańskie modlitwy. Ani im jednej łzy z oczu ich nie otrze sława pobitych, — sława, — krótkie wzruszenie potomnych, wzmocnienie zbiorowej ich dumy, pokrzepienie ich siły, uświęcenie ich szczęścia.

Sława nową krynicę łez odnajduje w duszy i szeroko otwiera. Nie gasi ani jednego z nieprzeliczonych westchnień żalu obraz szczęścia dziedziców sławy poległych. Niezliczoność westchnień żalu widokiem swoim pomnaża.

Dzięki, wielki poeto, bojowniku nieustraszony i prawdomówny świadku, co z lancetem w ręku, bezsennie w ciągu tygodni, wydzierałeś śmierci żywot męczenników obok krateru Verdun, iżeś to słowo ze straszliwości widowiska wyniósł przed oczy człowiecze: — «jest coś cenniejszego, niż życie, jest coś bardziej niezbędnego, niż życie»...

Nie zabliźni to słowo, jako balsam cudowny, rany

nazawsze otworzonej. Lecz jest, jakoby ręka niewidzialna miłosiernego anioła, który głowę, wieczyście opuszczoną ku ziemi, mocą swą dźwiga ku górze, a ciężkie powieki, nad krynicą łez zapadłe, podnosi tkliwemi palcami, ażeby mózg mógł raz jeszcze powziąć myśl obojętną, lecz odmienną, a oczy mogły raz jeszcze wejrzeć na niebo.

O, matki Francyi, co przez krynice łez patrzycie na murawę wiosny i na kwiaty nowe, po raz drugi, po raz trzeci i po raz czwarty okrywające mogiły synów.

Jest coś cenniejszego, jest coś bardziej niezbędnego, niż było samo waszych synów życie!

Ich śmierć była objawieniem się nieśmiertelności ludzkiego ducha. W ich czynie jeszcze raz, nanowo, porwał się geniusz francuskiego ludu, geniusz plemiennego trwania, geniusz wielkiej rewolucyi, geniusz Napoleona, geniusz lipcowy, geniusz rzeczypospolitej, geniusz Descartes'a i geniusz utajony wielkiej masy prostych pracowników — przezroczyście jaśniejąca w duszach namiętność ścisłego widzenia istoty rzeczy, dobra niewątpliwego, prawdy samej w sobie, — bezgraniczny entuzyazm, zamknięty w skończonym czynie. Wiedział, iż nadszedł moment, kiedy wszystkiego odżałować wypadło i wszystko na kartę postawić.

Zliczone miał głosy, które potępiły wojnę, jako wojnę i jako wypad nazewnątrz plemiennych granic, — zważył ubywanie przyrostu dzieci w rodzinie, w kraju i w państwie, — przewidział zniszczenie pól, winnic, domów, wsi, fabryk, miast i prowincyi. Podźwignął się od jedynego, od ostatniego syna w rodzinie, — zapłonął od samego spodu

wszystkiej miłości matek i ojców, — zamierzył się od największego dna potęgi społecznej, by odeprzeć uderzenie wroga świata.

Zimnem okiem artylerzysty nastawiał cel druzgocącej broni przeciwko umiłowanym miastom ojczyzny, z dokładnością nieomylną kierował działo w nawę katedry Laon i miotał pocisk w święty ołtarz narodu.

Niezliczonością ciał jedynych i ostatnich swych synów, ku zdumieniu ziemskiego okręgu, zamurował wyłom Verdun, podwoje, przez które niewola narodów i hańba świata na ziemię francuską wejść miała.

Drugą rzekę krwi wypuścił z żył jedynych i ostatnich synów swych do nurtu Marny, świętej rzeki ludzkości, gdy przyszła zdawna przewidziana godzina złamania, zniszczenia, wypędzenia i rzucenia na kolana wroga narodów.

Legenda mówi, że gdyby cienie poległych synów Francyi za tej wojny straszliwej przechodzić poczęły ciągłym szeregiem, żołnierskiemi czwórkami, w marszu pośpiesznym poprzez jakąkolwiek miejscowość ziemi, to te armie umarłych, legie duchów kroczyłyby nieprzerwanie przez dni czternaście i czternaście nocy.

Serce ludzkie drży wobec tej rewii straszliwej i z głębi swojej wypycha na usta krzyk:

— Wieczna chwała poległym!

W nich duch ludzkości całej, przeszłej i przyszłej, poznaje się w samym sobie, widzi się w najgłębszej swojej istocie, w jestestwie swojem, w niedoli swej i w sławie.

Oszczerstwem bohaterskiego czynu armii poległych jest

twierdzenie tych, którzy rozgłaszają, że to wola bogaczów, skryte dążenie piastunów władzy do rozpostarcia imperyalistycznej państwa potęgi, że jedynie żądza zaboru dla wyzysku cudzej ziemi i cudzej pracy otwarła przed temi wojskami żywych jamę mogiły.

Te wojska poginęły nie na ziemi cudzej, lecz na ziemi ojczystej, którą naszedł, zniszczył, zdeptał, stratował i spalił zewnętrzny wróg. Trupy ich krwawym pasem przecięły wszystkie drogi i ścieżki, prowadzące do miasta Paryża, stolicy kultury ziemskiej, — nieprzebytemi zasiekami legły przy każdej skibie i w każdej bróździe napadniętej ojczyzny, — pierścieniem nie do złamania okrążyły góry ruin, miasta — stosy ofiarne, — Arras, Reims, Soissons, Verdun, — zawaliły doliny Chemins Des Dames i zaciśniętemi pięściami objęły każde drzewo w lesie Argonów.

Z dalekiej ziemi, której sama nazwa zapomnianą została przez ludy wolne, wznosi się teraz ten okrzyk milionowych rzesz ku wiecznej chwale poległych.

Albowiem oni leżą w ziemi nie tylko za wolność, za honor i za przyszłe szczęście Francyi, lecz pogrzebani są za wskrzeszenie z martwych, za honor i przyszłe szczęście Polski.

Oręż obronny z zastygającej ich dłoni przypadł do ręki, która aż dotąd schła w kajdanach tyranów.

Dźwignięta jest nanowo sława wielkiego polskiego narodu. Podniesiona jest nad szerokiemi ziemiami chorągiew sprawiedliwości. Obudzone jest do życia nowego czynu dobro tam wszędzie, gdzie przemoc niedolę

bezlitosną, złorzeczenie i zemstę przez półtorasta lat zasiewała.

Wielkie prace o niezmierzonym zakresie, nieprzeliczone zabiegi cywilizacyi rozwiną się w jałowych dotąd pustkowiach.

Wnętrze głuchej ziemi zahuczy teraz od uderzeń młotów i oskardów, a skarby bezcenne potężna praca wyrzuci na powierzchnię z martwego łona głazów, by odrodzić i zbogacić stare miasta, nieme i głuche, by podźwignąć wsie i osiedla.

Schnąć będą od wielkich człowieka poczynań odwieczne błota i w rolę urodzajną przemieniać się piaski bezpłodne.

W pracownice niestrudzone przedzierzgną się dzikie lechickie rzeki, dźwigając węgiel, — a świst lokomotywy, przodownicy postępu, roztrącać się będzie o skalne urwiska gór, przeszywać wicher Bałtyku, płoszyć sen głuchy głębokich lasów i zakłócać ciszę zaniedbanych pól.

Nad wszystkiemi rolami, które posiądzie wydziedziczeniec, nabywca ich w ciągu stuleci za cenę krwi i znoju, nad zagonami, które umiejętność uprawi fizycznym trudem milionów, rozlegnie się pieśń szczęśliwa człowieka wyswobodzonego z ucisku.

Zniknie słomiana strzecha jego schronienia i zgniły barłóg legowiska, spłonie pospołu z niewolą zaraza, nędza i ciemnota. Wzniesiony zostanie dla synów wolności dom, godny obywatela. Wielka, nieustająca i nigdy nieskończona przemiana ze złego na lepsze dziać się będzie wciąż w oczach świata na tej ziemi, którą lud polski przed niezmiernością wieków obsiadł, a teraz na wieki wieków

wydziera wrogowi.

Na straży tego dzieła, które jest zyskiem świata i dobrem kultury, do obrony granic wolnego kraju i do obrony polskiej pracy, wiecznie nowe skarby tworzącej, stać będzie armia młodzieńców i mężów, przenigdy niezwyciężona.

Polska przez sto pięćdziesiąt lat w lochu swojej niewoli dowiadywała się, czem jest wolność i czem jest niewola.

Teraz już wolności swej nie odda.

Strumieniami żywej krwi i strzępami, wydartemi z żywego ciała, osiągnęła ścisłą wiadomość, kim jest Niemiec, jaka jest jego wola, jego dusza zbiorowa, jego prawo, słowo jego przysięgi i jego honor.

Odtąd — nie pójdzie już Niemiec na wschód.

Zostanie w granicy swojej, którą z Polski żywego ciała wyszarpał, — w domu swym, na swoich drogach i własną rolę uprawiać musi.

Nie pójdzie już Niemiec na zachód.

Nie będzie już na jawie śnił, jak to weszło w nałóg jego filozoficznego myślenia, o przerzucaniu ludów z wolnej ojczyzny ich na obce ziemie, które on im wyznaczy, — o wytępieniu plemion «mniej wartościowych» i o przyswajaniu sobie plonów, wydartych przyrodzie przez krwawą pracę, dla nasycenia i napojenia narodu, uznanego przezeń za dobro świata jedyne. Będzie już odtąd dotrzymywał słowa przysięgi.

Łzami wymyje i krwią, z rany płynącą, zamaże hasło, wyryte na jego bojowej tarczy: — «siła idzie przed prawem» — i hasło: — «wyniszczyć!»

Musi uznać za swoje słowo Twojego herbu, o Bojownico

Wolności: — «prawo człowieka i obywatela».

Polska nie pożąda ani jednej piędzi ziemi niemieckiej. Wyciągnie ona braterską dłoń do nowego Niemiec świata pracy i pierwsza uczci wielkie odrodzenie ich w duchu, jako ludu równego z równymi i wolnego z wolnymi.

Lecz na rubieży starej ziemi, która przez wieków tyle oparła się tyranów teutońskich przemocy i zdradzie, a zachowała naddziadów mowę, od ucisku świętą, ustawi niezłomny mur z piersi polskich żołnierzy.

W piersiach tych zamieszka na zawsze pamięć wielkiej armii zabitych Francuzów, braci z pod Château-Thierry.

W piersiach tych żyć będziesz wiecznie, o nieśmiertelna, przednia legio człowieczeństwa odrodzonego w duchu, nad którą rosną murawy i kwiaty, łzami matek polewane.

O, Francyo! Zaufaj wdzięczności, męstwu i honorowi Polaków...

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Stefan Żeromski.*

IŁAWA — KWIDZYN — MALBORG

I • II • III • IV • V

---

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Stefan Żeromski.*

I

Pociąg warszawski, przesuwany w Tczewie, na granicy Gdańska i Polski, z szyn na szyny kolejowe, cofając się dla znalezienia swego miejsca, wjeżdża na most żelazny, jedno z potężnych dzieł ludzkich, ujarzmiających wspaniałe Wisły łożysko. Głęboka noc zwisa nad urodzajną ziemią, — nad ową «Danziger Niederung», zamkniętą w delcie Wisły i Nogatu. Niejasne kształty wież miasta, zarysy wyniosłych budowli, światła dalekie majaczeją wśród wątłej mgły nadrzecznej. Odblask pełni księżyca pada na powierzchnię rzeki i ukazuje ją całą na dalekiej przestrzeni. Bujne strumienie środkowego wartu pienią się, uderzając o granitową przeszkodę, banie i kłęby wodne wykwitają nisko, nisko między potężnemi słupami. Przenikliwe światło sięga aż do samego dna żywej wody. Z tego to dna pomyka w górę i wytryska na powierzchnię krąg wodny za kręgiem, fala pienista za falą, strumień srebrny za strumieniem i śmieje się do oczu, mówi do serca niewiadomą, tajemniczą swą mową: To ja tu jestem to ja tutaj w głębi wód płynę, twoja własna woda, woda miłości twojej, twoja wierna rzeka. Z jodłowej puszczy się niosę, ze świętego gaju dzieciństwa twego... Tczew! Już raz przed laty zdobywałem był to miasto, idąc w marzeniu — «Na Gdańsk! ku morzu!» — wślad za orężnym czynem i wiekopomną sławą Jana Henryka Dąbrowskiego. Teraz mam możność wysławienia rekuperacyi tego miasta

powtóre, zdobycia już trwałego i na wieki, sprawiedliwej odnowy prawa na tych ziemiach polskich odwiecznie. Parę miesięcy liczy sobie era przejęcia Tczewa przez Polskę, — ale jakże zmieniło się oblicze miasta! Na urzędach, rogach ulic, sklepach i instytucyach napisy polskie, aż do najodleglejszego przedmieścia. Ludzie wszędzie mówią po polsku w tem zawzięcie niemieckiem mieście D i r s c h a u...

Podobnej metamorfozie uległ Grudziądz, twierdza militarna i, niedawno jeszcze, twierdza niemieckiego nad polskością ucisku! Gdy się przemierza place, ulice, zaułki i ogląda piękne zabytki tego grodu, można podziwiać mistrzostwo w sztuce tępienia śladów polskiej pracy, życia i przeszłości, zaciekłość pasyi zacierania jakiegokolwiek wspomnienia o kulturze, skazanej na zadeptanie i zagładę. Oto pierwsza pamiątka z brzegu: pomnik na zewnętrznej ścianie starożytnego kościoła. Postać nadgrobna w polskich szatach, z buławą czy buzdyganem w ręku — pozostawiona, lecz napis pospołu z marmurową tablicą wyrwany i usunięty.

Nazwiska polskie nade drzwiami sklepów przeważnie polskie, lecz zniekształcone, przystosowane do niemieckiego brzmienia i zaopatrzone w czysto niemieckie imiona chrzestne, aby snać pańskiego ucha nie raziły i — ażeby nie było najlżejszego złudzenia lub wątpliwości o prawomyślnej adhezyi kupca lub przemysłowca do szczepu panów.

A oto teraz, w ciągu niewielu tygodni jakaś siła, jakaś niezłomna, niewidziana na tych obszarach potęga, coś, jakby tajemnicza ręka, zmazuje z szyldów nietylko

powykręcane kombinacje liter w nazwiskach, przywraca ich brzmienie, oraz imiona polskie, ale nadto same tytuły handlu podaje w dokładnem polskiem tłomaczeniu, nieraz zabawnie przenicowując niemiecki sens na polskie. Tam tedy wabi przechodnia «Hotel dworcowy», gdzieindziej «Restauracja do beczułki» (Restaurant zum Tonnchen) i t. p.

Ukazują się już także zakłady, sklepy, przedsiębiorstwa i przemysły nowe, świeżo założone. Na każdym kroku uderza oczy: ulica «Trzeciego Maja», ulica «Tadeusza Kościuszki» — i t. p., oraz hotel, księgarnia, piekarnia, cukiernia, restauracya warszawska. W dużym hotelu, który tam jeszcze niedawno był siedliskiem dyktatorów minionej wojny, gdy wybierali się na podbój świata z tego właśnie gmachu i układali plany przerzucania plemion ludzkich z miejsca na miejsce, ujarzmiania ludów i deptania narodów, — dziś służba mówi poprawną polszczyzną, a menu restauracyjne układane jest tylko po polsku. Kiedy to miasto stanie się polskiem do rdzenia i kiedy w każdym sklepie nie tylko szyld będzie polski, ale targ i mowa tylko po polsku brzmieć będą — na to trudno termin wyznaczyć. W każdym razie, wznosząc z pięknego początku, ulegnie ono spolszczeniu w nadzwyczaj szybkiem tempie. Ludność niemiecka przystosowuje się do obecnego stanu rzeczy. Kto zaś nie może pogodzić się z tym nowym stanem rzeczy, emigruje do Niemiec! Miejscowe pismo podaje spisy osób wyjeżdżających i wylicza wiele nazwisk o polskiem brzmieniu, owych Willy'ch i Trudy, dla których nie do zniesienia się wydaje powrót na łono wzgardzonej ojczyzny

i przyznanie się do wzgardzonego niegdyś narodu.

W granicznej stacyi Gardei, żołnierz polski przepuścił automobil, wiozący prof. dr. Jana Kasprowicza, dra Władysława Kozickiego, radcę namiestnictwa we Lwowie, i niżej podpisanego, oraz p. Morawskiego, urzędnika konsulatu generalnego w Kwidzynie, — a przedstawiciel «Sicherheitswehry» zrewidował nasze paszporty i pozwolił nam wtargnąć na teren plebiscytowy. Mijamy tedy osady niemieckie zabudowane, tudzież folwarki, przypominające fabryki kształtem swych obór, stajen i owczarni. Po godzinie drogi ukazuje się w oddali zamek krzyżacki i kościół w Kwidzynie.

Gdyby ktoś nie znał dziejów komturstwa w Marienwerder, nie wiedział wcale, w jakim celu wzniesione zostały te strome budowle z niezliczonej ilości cegieł, kształt narożnej wieży, kwadratowego stołpu i łukowaty, daleko wysunięty, wsparty na wysokich słupach D a n s k e r, to ta dziwna forteca, odpychająca swym ponurym kształtem, wyjawiłaby mu sama dokładną powieść o pobożnych ujarzmicielach. Kolosalne murowane nogi zamczyska, wychodzące z kompleksu murów kościoła, twierdza czyhająca na ślepych i nagich murach, na olbrzymich zrudziałych i zzieleniałych skarpach, cały ten murowany rynsztunek zbója zdaje się przyklękać do skoku

na daleką, płaską ziemię Powiśla, czyhać do wypadu i niepowstrzymanego marszu poprzez rzeczki i lasy, pola i łęgi dla przekroczenia wbród Wisły, którą widać w oddali, wijącą się w kępach drzew olbrzymich. Setki tysięcy, zaiste słowiańskich chłopów, Pomorzan i Kociewia wypalały te cegły na rozkaz swych panów, dla swych rozkazodawców i władców, dla wielkich mistrzów i komturów; nosiły je pod batem i kijem z miejsca na miejsce, na podniebne rusztowania, ażeby na siebie samych i na swych braci wznosić wśród lasów Pomezanii tę niezdobytą katownię, ażeby z czasem ulec na wieki pod przemocą i, na rozkaz panów, w obcy dla samych siebie naród się zamienić. Z wąskich okienek, podobnych do strzelnic, oczy konkwistadorów Wschodu, wychodźców z całego świata, bywalców i znawców wszelkich przysmaków Południa, oczy nienasycone w łupiestwie, tyranii i zdzierstwie, wypatrywały wszelką siłę, wszelką własność i wszelkie dobro. Zanim się stali «panami nad Prusy», ile przeszło czasów ciemięstwa i walki — świadczy wysokość, szczytność i strzelistość, oraz głębokość jaskiń podziemnych zamku w Kwidzynie. Niema w tych murach nic z piękna, poezyi czasów minionych, snu wieków w szczerbach poniechanych budowli przez nowoczesnego człowieka. Przeciwnie — wszystko to jest wyrestaurowane, podparte, oczyszczone i żywo tyrańskie. Dawna obłuda i ciemięstwo świeci się tu i błyszczy wciąż jeszcze. Jeden z najgenjalniejszych ludzi na świecie, zaszczyt i chwała plemienia człowieczego na ziemi, Mikołaj Kopernik, tych stron syn i znawca stosunków, zwał rycerzy «des Deutschen

Ordens» — latrones, praedones et homines scelerati. To słowo genjalnego Polaka należałoby wyryć na krzyżackim murze w Kwidzynie. Miasto rozpostarte dookoła zamczyska i kościoła nosi dziś charakter czysto niemiecki. Ani jednego napisu polskiego — z wyjątkiem kartek ogłoszenia komisyi plebiscytowej o mającym się dokonać porządku głosowania, które dwujęzyczne mają brzmienie.

Każda prywatna rozmowa, prowadzona na ulicy po polsku, wywołuje odruch spojrzenia, które, gdyby tylko mogło, gotoweby bliźniego w łyżce wody utopić, — budzi pomruki, bełkoty, szepty i ściska twarde kułaki niemieckich przechodniów. Jest to miłe miasteczko, gdzie ludzie czują przynajmniej, kim są, i zdają sobie sprawę z tego, do jakiej należą parafii.

Wybuchy zbyt żywych niemieckich afektów tamują do pewnego stopnia pióropusze włoskich bersaglierów, uwijające się raz wraz po mieście, zabawne sprawiając wrażenie w tem krzyżackiem gnieździe. Możnaby doprawdy przypuścić, iż jest tajemne powinowactwo między temi zjawiskami: niegdyś tutaj, do Kwidzyna, z Wenecji, przywędrowali późniejsi «Herrenin Preussen». Obecnie dawni ich włoscy gościnni padronowie przybyli, ażeby popatrzeć, jak się też w ciągu wieków zagospodarowali na nowej siedzibie ich cisi i bogobojni lokatorowie. Nie zawsze spokojnie kończą się te oględziny. Czasem noże i pałki migają dookoła kogucich pióropuszów i czerwonych fezów z sutemi chwastami. Signor Pavia, prezes komisyi plebiscytowej, z za okien

gmachu landratury, z wyniosłych sal, ozdobionych konterfektami wszelakich Wilhelmów i Bismarcków, spokojnie przysłuchuje się codzień muzyce batalionu bersaglierów i przypatruje ich oryginalnemu powrotowi do koszar, jakby się rzecz odbywała w Bergamo lub Urbino, a on tu siedział sobie w roli podesty. Upodobanie do włoskiej muzyki podziela z nim spory zastęp mieszkańców, a zwłaszcza mieszkanek, cichego miasteczka.

W hoteliku «Casino», wykupionym przez Polaków, w eleganckich pokojach restauracyi, na dole, gromadzi się codzień, pożywia, rozprawia, wiecuje, spiskuje i pracuje wszystka polonia. Pełno tu gwaru polskiego, słychać wciąż język włoski i francuski. Służba mówi po polsku, a choćby kto tym językiem nie władał poprawnie i biegle, to skoro tamten próg przestępuje, pewnie jest polakiem z ducha. Na to ognisko czynią od czasu do czasu napaści kawalerowie kwidzyńscy. Był wypadek, że jeden oficer francuski rozgromił bandę napastników.

Drugim ogniskiem polskim jest dom komitetu plebiscytowego z salą teatralną na dole, oraz z biurami sekcyi — centralnej, propagandy, oświatowej, aprowizacyjnej, statystycznej, prasowej i dobroczynnej. Trzecim ogniskiem polskiem jest konsulat generalny, mający na swem czele hr. Jana Sierakowskiego z Waplewa. Roztasowawszy się w hotelu «Casino», wpadliśmy odrazu w wir spraw plebiscytowych, w koło zatargów z prezesem Pavią, protestów, listów, odwołań i potwierdzeń, wynikłych na tle zbrojnego zamachu niemców na pochód narodowy, co miało miejsce na tydzień przed naszem przybyciem.

Zaraz w dniu następnym złożyliśmy wizytę naszemu konsulowi generalnemu i szczegółowo zaznajomiliśmy się ze stanem rzeczy na terenie plebiscytowym, obejmującym kwidzyńskie, sztumskie, malborskie, suskie i iławskie po Olsztyn, dokąd sięga ingerencja kwidzyńskiego komitetu.

Tegoż dnia hr. Sierakowski wprowadził nas na posiedzenie komitetu plebiscytowego. Kierownicy poszczególnych sekcyj, byli łaskawi dać nam sumaryczne sprawozdania z wszelkich prac dotychczasowych, od zawiązania komitetu w Warszawie z inicjatywy mecenasa Osuchowskiego, aż do ostatnich faz pracy i walki. Żałować mi wypada, że nie mogę przedstawić tutaj całokształtu tej roboty. Nie należy jednak ujawniać jej cech charakterystycznych, gdyż ich przytoczenie mogłoby odsłonić wiele tajnych sprężyn działania przed oczyma nieprzyjaciół.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Stefan Żeromski.*

II

Bardzo ciekawie przedstawia się zespół ludzi, pracujących w tym komitecie. Z odległych krańców kraju spotkali się tu ludzie charakteru i czynu. Ten z Poznańskiego, tamten z Galicyi, ten z Ameryki, a tamten «ze świata», kupiec i ksiądz, posiadacz i biedak, dziennikarz i urzędnik tworzą tu sprawne biuro odkupicieli polskości. Atmosfera duchowa, panująca w tem gronie działaczów, przypomniała mi dawne sprawy spiskowe w Królestwie za czasów Hurki i Apuchtina. Mówi się tam wciąż o czyhających szpiegach i zdrajcach, o wyrodkach i bohaterach, o duchach czystych i przebiegłej kanalii. Jak w tamtych zespołach, nie brak i tutaj motywów komicznych, frazesów i fanfaronady. Ta tylko zachodzi różnica, że za owych dawnych lat było się w środowisku narodowem, w pełni życia polskiego, pod cudzoziemską pokrywą jedynie. Na terenie plebiscytowym to życie bojowe musi sobie torować drogę w świecie wrogim i przemożnym, zaopatrzonym we wszelkie środki, od materyałów bojowych do najdoskonalszych urządzeń szkolnych.

Dopiero w tym czasie pozwolono w Olsztyńskiem zakładać szkółki prywatne, a więc sekcya oświatowa komitetu tworzy szkółki, wynajmuje w Malborskiem lokale na ochronki, otwiera w Sztumskiem 9 ochronek, w Kwidzyńskiem 2, w Suskiem 5, w sumie około pięćdziesięciu instytucyj oświatowych wraz z czytelniami.

Są to, oczywiście, zaledwie drobne początki. Księża niemieccy przeciwdziałają nawet takiej inicjatywie, jak zakładanie w polskich miejscowościach ochronek wiejskich. Naogół stan współżycia z księżmi niemieckimi znacznie jest gorszy, niż na Śląsku Górnym. W szkołach ludowych nauczyciele wyśmiewają się z polskości, z polskich obyczajów i języka. To też przełamywanie tych wszystkich przeszkód i budowanie własnych instytucyi w dobie, gdy ludzie mają się decydować na plebiscyt, na wyrzeczenie się kultury zasobnej we wszystko, uposażonej i operującej wyszkolonymi ludźmi, a na przechylenie się ku nieznanej, dalekiej i ubogiej Polsce, jest pracą syzyfową, zarazem spóźnioną i przedwczesną. Sam plebiscyt tutaj, w tych potwornych warunkach, jest pomysłem niesprawiedliwym i urągającym wszelkiej prawdzie.

Prezesem komitetu jest poseł ks. Ludwiczak, w którego mocnej ręce inicjatywa całej pracy spoczywa. Jego sekretarzem jest energiczny prof. Dykier. Pp. Odrowski, Wilk, Chmielewski i inni dzielą między siebie te prace, na których wynik z takim niepokojem cała Polska spogląda. Jedną z najciekawszych postaci w tym światku polskim, walczącym w Kwidzynie, jest ks. Rudolf Nowowiejski, brat rodzony znakomitego muzyka, twórcy narodowej «Roty»; jest to bowiem człowiek tamtejszy, Warmjak urodzony. Wielorakie i rozległe wykształcenie, znajomość dziewięciu języków obcych aż do arabskiego, odbyte dalekie podróże, wrażliwość, bystrość, energja, śmiałość a nadewszystko prostota i szczerość czynią z tego człowieka postać nadzwyczajnie zajmującą i sympatyczną. Na licznych

wiecach ks. Nowowiejski staje do walki właśnie z księżmi niemieckimi, a podtrzymuje i roznieca ogień uczuć polskich w duszach nielicznych księży-Polaków, kolegów swych i przyjaciół. Jako znawca nieporównany stosunków, ludzi, miejscowości, języka i obyczajów, jest czynnikiem niezastąpionym w pracy komitetu. Dziś jest tutaj, jutro o setki kilometrów, nie doje i nie dośpi, wciąż w drodze i wśród ognia pracy... Jego mowy, apostrofy, wielojęzyczne wystąpienia do władz koalicyjnych cechuje oryginalność i trafność. Poezje łacińskie, niemieckie i polskie sypie jak z rękawa. Ściślejszą swą ojczyznę opiewa w strofach, których autograf, jako cenną pamiątkę, przechowuję w tym notatniku:

«O, Warmjo, kraju święty,
Warowny domie nasz,
Ach, jakże niepojęty,
Ty dla mnie urok masz!
Potężna w tobie siła,
Żywota wieczny zdrój,
O, Warmjo moja miła,
O, drogi kraju mój!»

Zaraz w dniu następnym złożyliśmy wizytę prezesowi komisyi koalicyjnej, panu Pavii. Wymowny włoski polityk i prawnik w ciągu dobrych paru godzin przedstawiał nam historię miejscowych zatargów, udowodniając wszystko dokumentami, a wciąż zapewniając nas o swej nadzwyczajnej, niewzruszonej sympatyi dla Polski. Musieliśmy odczytać wszystkie polskie zażalenia i rekursy, oraz odpowiedzi na nie prezesa Pavii, brał nas bowiem za

świadków czy sędziów poprawności swego stanowiska i lojalności w postępowaniu. W trakcie tej długotrwałej dysertacyi nadszedł przedstawiciel Anglii w komisyi plebiscytowej p. Beaumont, a wkrótce potem i przedstawiciel Francyi hr. de Chérizy. Obadwaj ci panowie zgadzali się na wywody prezesa Pavii, przyznali mu słuszność i pochwalili zarówno motywy, jak sposoby jego postępowania w odpowiedziach na zażalenia polskie. Jednakże pod tą zewnętrzną jednolitością poglądów i zgodnością powziętych decyzyj dawała się wyczuć wewnętrzna różnica. Odnosiło się wrażenie, iż zawzięty, zimny i ironiczny p. Beaumont nie jest wcale przyjacielem naszej sprawy na tej ziemi plebiscytowej, a natomiast przedstawiciel Francyi sprzyja nam bezwzględnie.

Nazajutrz, w pierwszym dniu Zielonych Św., miał się odbyć wiec ludowy w Kwidzynie, w tymczasowym domu ludowym. Przypuszczać było można, iż to miasto tak z zewnątrz niemieckie, zaledwie garsteczkę posiada Polaków. Tymczasem — wielka sala teatralna ledwie mogła ogarnąć tłum ludzi przeważnie ubogich, którzy się zgromadzili na wezwanie doraźne komitetu. Wrażenie, wywołane przez ten wiec, pozostanie na zawsze w mej pamięci, jako jedno z najsilniejszych w życiu. Nigdy jeszcze nie widziałem w twarzach ludzkich takiego zdecydowania, kamiennej zawziętości, takiego męstwa i grozy, takiego ujawnienia się czujących i czuwających dusz w ciałach i obliczach, jak tam właśnie. Byli to robotnicy, wyrobnicy, kolejarze, służba, niżsi urzędnicy pocztowi, półinteligencya, ludzie prości, drugorzędni. Gdy wielki poeta, Jan Kasprowicz, sam

syn ludu i sam ongi równie dobrze, jak oni, traktowany przez tychże gnębicieli, wypowiedział natchnioną a prostą mowę, wzywając, żeby wytrwali i czekali, — gdy ich zapewniał, że nie jesteśmy już dziś, jako stado owiec rozbite przez wilki, lecz że mamy już własne państwo, niezwyciężone wojsko i rząd narodowy, który czuwa i śledzi, który ma w pamięci każde zdarzenie, ma zapisaną każdą krzywdę, wie o każdej ranie i sińcu, o każdym policzku i zniewadze, patrzałem, sam zachwycony, na te twarze zastygłe w uniesieniu, jakby w zachwycie. Oblicze pewnej wychudłej, starej kobiety w czerni, z rękoma obwiniętemi czarnemi splotami różańca, które się ku mówcy raz wraz ekstatycznie i nabożnie wznosiły, — oczy zaszklone łzami dziękczynienia za tę wieść o wszechpotężnym mścicielu, polskim rządzie, — unoszenie się całego ciała jakby na wyżynę z wielkiej wewnętrznej radości... Uśmiech na ustach świadczył o niebiańskim, prawdziwie, triumfie, o szczęściu duszy, śniącej swój sen przy końcu życia ziemskiego, iż wysłuchane zostały długie, bezsilne modlitwy i skończone są wszelkie katusze. Pęka już ziemska, nieprzełamana moc nieprzyjaciół i tajemnicza, święta Polska nadchodzi, niosąc tablice zapisane, gdzie każda krzywda, każda zniewaga, każde potrącenie jest zapisane. A więc nie nadaremna była wytrwałość w przechowywaniu wzgardzonej mowy, dobre było trzymanie się w beznadziejnym i wyśmiewanym uporze swojego polskiego słowa modlitwy i obyczaju...

Twarze tych wszystkich ludzi, którzy wsłuchiwali się w każdy wyraz, gdyż nie każdy wyraz był dla nich, zapewne,

zrozumiały, wargi ich, szepcące po każdem zdaniu mówcy jakieś słowa, klątwy, przysięgi, skargi, okrzyki! Spojrzenia ich, gesty rąk, potakiwania i skinienia! Po znakomitem, agitacyjnem przemówieniu prof. Dykiera, który pouczał tych ludzi, jak mają się zachować w razie zaczepek i napaści: «samym nie zaczepiać Niemców przenigdy, lecz w razie napaści bić w pysk na odlew!» — po wyjaśnieniu, co znaczy i jakie ma przyczyny spadek marki polskiej i t. p., poczęli przemawiać oni sami. Niektórzy zaczynali mowę po polsku, a nie mogąc znaleźć odpowiednich wyrazów, wyrzucali ją ze siebie jednym tchem po niemiecku, uskarżając się i przedstawiając swe krzywdy. Pewna kobieta opowiadała, jak w kościele popychają, odtrącają, gdy się po polsku modli, inna wypominała swe biedy i prześladowania w służbie, poniewierki i wypędzanie zato, że z dziećmi mówi po polsku. Kilkakrotnie zabierał głos Bartkowiak, świeżo wypuszczony z więzienia przywódca demonstracyi narodowej. Wreszcie przemówił robotnik, Kaszub z rodu. Była to prześliczna mowa. W prostym swoim wykładzie ten mówca zwracał się do zgromadzenia z zarzutem, czemu to ludzie nie kupują książek polskich, stawiał oskarżenie, czemu czytają świstki niemieckie, czemu nic nie wiedzą o Polsce, a słuchają wszelakich pogłosek i bajek. W samem brzmieniu słów jego uderzał ton pieściwy i miękki, złagodzenie, jakby zmatowanie szorstkości i twardzizny naszej mowy, coś jakby poświst odmienny wiatru morskiego, zaniesiony na szczyty i równiny. Niektórzy z mówców tego wiecu wypowiadali się jak najbardziej stanowczo przeciw komisyi koalicyjnej i

żądali ingerencji rządu polskiego na plebiscytowym terenie. Po wiecu dużo osób zgłaszać się poczęło z osobistemi skargami, z wyliczeniami krzywd i bied, zawierzywszy poprostu i naiwnie prawdomówności naszych przemówień, gołosłownych w gruncie rzeczy zapewnień, iż, zaiste, rząd polski o każdą krzywdę, ranę i siniec się upomni i za każdą zniewagę zażąda od ciemiężców zadosyćuczynienia.

W drugim dniu Zielonych Świątek miał się odbyć wiec narodowy w Iławie (Deutsch Eylau). Byliśmy przygotowani do wyjazdu w towarzystwie prof. Dykiera. Czekaliśmy tylko na samochód, który lada chwila miał z Iławy nadjechać. Tymczasem godzina upływała za godziną, termin wiecu minął, automobil się nie zjawiał. Okazało się później, że szofer, wysłany po nas, był to Niemiec, który, wskutek jakiejś urojonej przyczyny, nie dojechał do Kwidzyna. Według relacyi późniejszej jednego z miarodajnych czynników miejscowych, «samochód został stać na drodze» z winy szofera. Jakkolwiek tam było w rzeczywistości, my nie mogliśmy «być z Kwidzyna do Iławy wyjechani», gdzie zgromadzenie ludzi polskich daremnie na nas wyczekiwało.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Stefan Żeromski.*

III

Natomiast doskonale powiodła się wyprawa w innym kierunku — do Sztumu i Malborga. Korzystaliśmy tego dnia z towarzystwa i wskazówek prezesa komitetu plebiscytowego, księdza Ludwiczaka. To też kiedy samochód mijał osiedla po drodze do Sztumu byliśmy dokładnie uświadomieni, który dom jest polski, a który niemiecki, ile każdy zakład, cegielnia, folwark gburski, czy latifundium magnackie zatrudnia robotników polskich, gdzie już odbywały się zebrania i wiece, jaki gdzie jest nastrój i duch plebiscytowy, co ludzie mówią i jak się zapatrują. Osiedla polskie łatwo zresztą poznać — niestety! — po lichszych zazwyczaj budynkach, słomianej strzesze stodoły i — stokroć niestety — po bardziej brudnem obejściu. Jedno bowiem trzeba Niemcom bezwzględnie przyznać — to wytrwałość i niezłomny upór we wdrażaniu materjalnej kultury. Ich drogi bite, wysadzone nieskończonemi alejami lipowemi, ich urządzenia przemysłowe, zabudowania, uprawa pól i kultura lasów czynią z tych krain Europę w najbardziej dodatniem znaczeniu tego wyrazu.

Nie zawsze, oczywiście, słomiana strzecha i zaniedbanie czystości obejścia znamionuje siedlisko Polaka. Niejednokrotnie doznaje się radosnego zdumienia na widok znakomitych gospodarstw i bezwzględnej czystości, zasobności, smaku, stosowanych przez polskiego właśnie

mieszkańca tej strony.

Nie dojeżdżając do Sztumu, stolicy powiatu, zawierającego wysoki, bo 63 odsetek Polaków, zatrzymaliśmy się w Sztumskiej wsi (Stuhmsdorf). Na prawo i na lewo od drogi, stały murowane domki wśród falistych pól, rozchwianych od młodocianego, dorodnego zboża. Idąc od domu do domu, wszczynaliśmy rozmowę z mieszkańcami, którymi są sami Polacy. Mowa ich jest najzupełniej poprawna. Oto wyskoczyła z za proga na nasze spotkanie dziesięcioletnia Wilhelmina, zupełna z ruchów i barwy młoda sarenka. Włosy i przyodziewek jednakiej ma barwy, ni to glinki polnej na upale wyschniętej. Twarz, nogi i ręce, zapiekłe od słońca, czynią z niej, biednej sztumskiej plebiscytki, ideał niedościgły zdrowia, wzór dla wszystkich, jakie tam gdzie wegetują, dziewczynek świata, choćby o najbardziej zdecydowanej państwowości. Wilhelmina przestępuje z nogi na nogę, zaplata i rozplata drobne swe palce i nie może udźwignąć głowy, gdy ją tam mordujemy pytaniami o te nasze zatracone sprawy: czy chodzi do szkoły, ile w szkole dzieci, jak uczą, po jakiemu gadają... Nie wie biedactwo, że ona to właśnie jest tym skarbem naszego zjednoczonego narodu, którego wydać na zniemczenie nie możemy. I nie wydamy! Mocarstwa musiały walić się, trony w drzazgi druzgotać, moc piekła musiała pęknąć i runąć, ażeby «Wilhelmina» mogła się uczyć w tym «Stuhmsdorfie» po polsku. Lecz i teraz nie chodzi do szkoły, gdyż nauczyciel dręczy dzieci za ich polskość, wyśmiewa się, przedrwiwa, szydzi, przekręca i kpi sobie ze wszystkiego, co nie niemieckie. Odzyskawszy

wreszcie głos ze ściśniętego gardła w obecności księdza Ludwiczaka, Wilhelmina spogląda nam w oczy prześlicznym bławatem swych wesołych źrenic i opowiada śmiało, co się w jej szkole dzieje. Relację córki potwierdza ojciec jej, reperujący wóz przed domem. Nie posyła dziecka do szkoły, gdyż nauczyciel dręczy dzieci w szkole za polskość. Do ochronki założonej przez panią hrabinę z Waplewa dziewczyna za stara. I tak oto lata przed domem, po drodze i po miedzach. (Coprawda każdy z nas robiłby na jej miejscu to samo, gdyby tak jeszcze raz mógł przeżyć szczęście jej radosnego dzieciństwa!)

Lecz my, starzy nienawistnicy przemocy, musimy jednak zapędzić Wilhelminę do szkoły. Już ów pan nauczyciel przestanie dręczyć dzieci. «Nie damy ziemi, skąd nasz ród, nie damy pogrześć mowy!» W Berlinie zwalony został tron i skruszone, pono, berło nocy. Na zamku cesarskim powiewa, pono, sztandar rzeczypospolitej. Socjalistyczne zasady wolności, sprawiedliwości, braterstwa, wyzwolenia ze wszelkiego ucisku stanęły, pono, na miejscu siły przed prawem. Lecz nauczyciel pruski, tak samo jak za czasów Bismarcka i innych tam tyranów, znęca się nad dziećmi we wsi czysto polskiej. Na papierze istnieje prawo, iż wolno nawet w państwowej szkole uczyć po polsku w ciągu kilku godzin tygodniowo, lecz w rzeczywistości panuje to samo władztwo narodu nad narodem i przemoc zorganizowanego państwa nad bezbronnym ludem. Zewnętrzne rządy reakcyi zostały niby to zwalone, lecz rząd wewnętrzny małych łotrów, szczurów reakcyi, siedzących we wszystkich norach i szczelinach życia, po dawnemu nad tem życiem króluje.

W mieście Sztumie niemal wszystkie nazwiska kupieckie na szyldach mają czysto polskie brzmienie, lub polskie ze zniekształceniem niemieckiem. Każde dziecko, któreśmy zaczepili, odpowiadało najlepszą polszczyzną. Zwiedziwszy dom nowo-założonej ochronki polskiej, ruszamy dalej, gdyż narazie nie Sztum jest celem naszej wycieczki, lecz Malborg. Zdążamy tedy szosą na północ, wyminąwszy po drodze wspaniale pobudowane koszary tuż za miastem. Ktoś z nas, patrząc na owe koszary, czyni uwagę, iż przecie niema złego, coby na dobre nie wyszło. Takie koszary nie są do pogardzenia...

— Ba! Gdyby była dobra wola... — dorzuca ktoś drugi.

Falista okolica przesuwa się szybko przed oczyma. Mieszkania ludzkie na prawo i lewo od bitej drogi mają dla nas na razie o tyle znaczenie, o ile mieszczą w sobie ludność polską. Praca oświatowa na tym malborskim już terenie ogranicza się do wynajęcia trzynastu lokali na ochronki wiejskie. A plebiscyt za parę tygodni!

W oddali na pewnem wzniesieniu ukazują się szeroko i daleko nad całą okolicą panujące strzeliste wieże i masy jaskrawie czerwonych budowań. To Malborg. Wkrótce samochód mija przedmieście, gdzie na szyldach widnieją nazwiska o brzmieniu słowiańskiem, przeciska się przez wąską, starożytną bramę i wbiega na ulicę szeroką, podcieniami z obu stron zabudowaną, gdzie za lśniącymi witrynami mieszczą się sklepy i składy najzupełniej berlińskie. Uderza oczy stary ratusz z XIV wieku, lecz wszystkie spojrzenia skupiają na sobie olbrzymie strome mury i wieżyce. Wreszcie ukazuje się i sam sławetny obraz

Matki Boskiej na zewnętrznym murze prezbiteryum kościoła, figura olbrzymiej wielkości. Nie mam tu miejsca na opis gniazda krzyżaków. Po zwiedzeniu go zostaje wrażenie nudy i pustki. Niema tam ani jednego dzieła sztuki, a to, co zostało wskrzeszone z ruiny zamczyska, z ruiny, w którą je pogrążył wandalizm Fryderyka II, zostało odrestaurowane na życzenie Wilhelma II z taką starannością, że jest pomnikiem nie tyle kultury, obyczajów i czasu krzyżaków, ile monumentem manii wielkości i krzyżackich gustów eks-cesarza. Cały ów zamek i znaczna większość dawnej twierdzy ma nowe, czerwone lub zielone dachy, nowe podmurowania i łuki przyporne, zaopatrzony jest w chodniczki, opatrzony drzewkami, wyszorowany, wymieciony, wyświechtany i wypucowany z pruską dokładnością, jak stary szyszak, któryby się chciało wsadzić sobie na głowę. Wiekowa zbójecka czatownia na litwiny, prusy i słowiany, która w ruinie taiła w sobie z pewnością dziką poezyę dzikich rycerzy z nad Nogatu, dziś, daleko bardziej, niż zamek w Kwidzynie, jest jakgdyby przechowywaną w wacie i dydaktycznie wydobywaną na pokaz z zamczystego pudełka. «Cokolwieczek zanadto tu jest czysto», — jakby powiedział rosyjski pisarz Szczedryn. Wskutek owego wymycia, wyszorowania i jakby wyczesania starego zamczyska od głębin przepaścistych fos pod zwodzonym mostem aż do szczytu «Marienburskiej wieży» jest ono symbolem dzisiejszej pruskiej duszy, jej łapczywości na cudze dobro i nienasyconego apetytu na cudzą duszę. Balk, Ulryk von Jungingen, krwiożerczy komtur Henryk von Plauen i tylu innych «in der Kutte

und im Rittermantel Qawartiermejster Gottes» na ziemiach nadwiślańskich są tylko, jakgdyby herbem na chorągwi bojowej. To też rozmaici wschodnio-pruscy poeci opiewają swoje własne uczucia, pisząc hymny na cześć starego zamczyska, — jak, uczciwszy uszy, Bruno Pompecki:

«So leuchte du ewig vom Nogatstrand,
Weit hinaus in das alte Ordensland!
Steh fest auf der Wacht, du wuchtiger Bau,
Dass «deutsch» stets verbleibe der Weichselgau»,
«Lieder eines Westpreussen» Stuttgart 1905.

Oczyszczając stare gruzy, nowocześni krzyżacy wymietli, oczywiście, wszelkie wspomnienie o Polsce, która przecie przez kilkaset lat była w tym zamczysku u siebie, a jego zbójeckiego wnętrza używała na pożyteczny «generał», sejmik ziem warmijskich pod przewodem warmijskiego biskupa. Jedyną pamiątką po Polsce jest w jednej z dolnych sal oblężnicza kula z epoki Grunwaldu, tkwiąca w ścianie nad kominem. W górnej sypialni przemawia o Polsce umieszczona w marmurze allokucya eks-cesarza Wilhelma II, zapowiadająca wytępienie polskim strzechom Pomezanii, Warmii i Pomorza. Kustosz, oprowadzający nas po zamku i tytułujący na początku wizytacyi eks-cesarza Niemiec z nabożnem wywracaniem oczu «Seine Kaiserliche Majestät», ujrzawszy nasze skromne podpisy w księdze gości, już nam

marmurowej tablicy nie wskazywał. Przeczytaliśmy ją sobie sami, w skupieniu ducha. Ta mowa zuchwała, umieszczona w marmurze i tkwiąca na ścianie dumnego zamku w Malborgu, dziś, po wszystkich perypetyach i wyniku wielkiej wojny, nasuwa na myśl przysłowie, zapisane przez cichego polskiego pracownika, Grzegorza Knapskiego w jego genjalnej, wiekopomnej książce p. t. «Adagia», prawdziwie stokroć bardziej wiekopomnej, niż ten malborski zamek: «W zgromadzeniu roztropnych głupi najpierwszy i najwięcej mówi».

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Stefan Żeromski.*

IV

Musieliśmy śpiesznie Malborg opuścić, ażeby tegoż dnia zdążyć do Sztumu na zjazd kółek rolniczych.

Nim się jednak ten zjazd rozpoczął, skorzystaliśmy z chwili czasu, ażeby się udać do Zajezierza. Na przeciwległym od miasta brzegu większego z dwu sztumskich jezior leży w ogrodach ukryty polski dwór, należący do p. Kazimierza Donimirskiego. Zajeżdżających przed ganek powitała nas polska pieśń narodowa dzieci z miejscowej ochrony i młodzieży szkolnej. Krótko zabawiliśmy w staropolskim domu Zajezierza, lecz mogliśmy powziąć wiele cennych informacyj od gospodarza.

Wkrótce boczną drogą, po drugiej stronie jeziora udaliśmy się na spotkanie korowodu, zdążającego do Sztumu. Już na przedmieściu kobiety spotykane, chłopcy i dziewczęta informowały nas po polsku, że słychać muzykę i «że już jadą». W istocie wychylił się na wzgórza zdążający drogą od strony Mikołajek długi szereg pojazdów. Na przedzie waliła uszykowana w kilka szeregów młodzież konno z chorągwią o barwach narodowych i z drugą, symbolizującą pracę kółek rolniczych: wieniec pszenicy w zielonem polu. Przewodniczył na koniu tej dziarskiej młodzieży prezes p. Jan Donimirski. Za konnym komunikiem jechały pojazdy prawie jednego typu, wiozące rodziny rolników z

okolicznych gospodarstw. Doskonałe konie, odzienie starszych i dzieci, świadczące o dostatniej stopie życiowej, dawało od rzutu oka pojęcie o wartości społecznej tych średnich gospodarzy na 100 czy 200 morgach gruntu. Byli to przedstawiciele swoistego na tych ziemiach typu «gbura», rolnika, gospodarującego na niewielkim kawałku roli. Powiedziano nam, iż korowód kilkudziesięciu pojazdów jest drobnym zaledwie ułamkiem całości polskiego zaludnienia powiatu. Utrudnienia, czynione na każdym kroku w dostarczaniu pism, druków i listów polskich, uniemożliwiły większości rolników przybycie na ów zjazd kółek. Lecz i w tej ilości zgromadzeni czynili imponujące wrażenie. Cała kawalkata z muzyką na czele przedefilowała przez miasto, przywabiając wszystkę jego ludność do drzwi i okien.

Przypatrywałem się wyrazowi twarzy mieszkańców Sztumu i, co prawda, nie dostrzegłem błysku nienawiści ani w jednem oku. W wielu zaś dostrzegłem spojrzenie pełne sympatyi i żywej, bezinteresownej ciekawości. Owe nazwiska na «ski» i «icz», widniejące na szyldach kupieckich miasta Sztumu, wkrótce zapewne nie utrzymają się w niemieckiej swojej transkrypcyi, a obywatele polscy noszący te nazwiska, pójdą razem ze szlachtą, gburami i chłopami pod polską narodową chorągiew.

Wielka sala miejscowego kasyna ledwie mogła ogarnąć tę część polskiego żywiołu, która na zjazd przybyła. Ogorzałe panny, na których modne, powiewne bluzki, pończochy i pantofelki są wyraźnie odświętnym strojem, kawalerowie w długich butach z ostrogami i sportowych

kurtkach, starszyzna w paradnych, rzadko wdziewanych surdutach, wszystek ów rolniczy świat, z uszanowaniem, stojąc, wysłuchał tęgiej i mocnej przemowy swego prezesa. Jest to świat pewny. Ci nie odstąpią swego sztandaru i nie zdradzą, chociaż z taką trudnością i tak inaczej, niż wszyscy, posługują się naszą polską mową. Jest to język nasiąknięty niemczyzną, jak gąbka wodą. Wyrazy, zwroty, składnia, akcent, przydechy — wszystko jest niemieckie.

Ale z jakimże to entuzjazmem słuchają zbiorowej deklamacyi, gdy ich własne panienki, przebrane w krakowskie stroje, wypowiadają wiersze narodowej poetki! Piękne dla nich jest to wszystko, co sobie sami dla siebie z mozołem i trudem niemałym zrobili. I zaprawdę specyficznie piękne było rubaszne przedstawienie teatralne, gdy ze sceny brzmią zdania ledwie-ledwie polszczyznę przypominające, piękna była naiwność intrygi i piękne były wiersze witające ojczyznę, wskrzeszoną z martwych.

Daleka polskość jest dla tych ludzi jeszcze czemś arcy-subtelnem, trudnem, dziwnie zawikłanem wobec materjalności i wyrazistości wszystkiego, co ich otacza, jakąś niby lekcyą piękną, której trzeba się dobrze wyuczyć dla doskonałego czucia i poprawnego myślenia. Tak to z trudem i mozołem, niby strumień podziemny przez skałę, co drogę naturalną zawaliła sobą, przebijać się musi polskość do ojczystego morza. Bo to przecie pod cieniem Malborga i w pruskiej katowni, w środowisku wszelakich Pompeckich gromadzi się ta silna, zdrowa młodzież i przywiera duszą do nieznanej ojczyzny. Nie wiedzą jeszcze nic, czem jest wyniosła polska sztuka i czarodziejska

poezya, czem jest nawet sam przebogaty język naddziadów i żywa, wszechogarniająca mowa plemiennego ogromu. Wszystko wyżarła, a próżnię sobą nasyciła — obca kultura. Ci ludzie uczepieni są jakgdyby do jednego palca ojczyzny. Lecz już tego palca nie puszczą. Po przedstawieniu teatralnem nastąpiły tańce. I taniec ich jest niemiecki: to walc nieskończony, z figurami i bez figur.

Jako już zbyteczni i nieprzydatni do żadnej figury, wymknęliśmy się cichaczem z rozbawionego tłumu i, samowtór z moim poetą, pomknęli do Kwidzyna. W ciemności nocnej migają wsie za dnia poznane, kształty fabryk, dworów, chałup, lasy i pola. Poznajemy po ciemku te polskie domy, które nam za dnia pokazał ksiądz Ludwiczak, gdzie śpią spracowani prości ludzie, których nawet na sztumską zabawę nie stać. To tu, to tam. Zupełnie, jakby dusza leciała ciemnemi polami, tłukła się od wsi do wsi, od chaty do chaty, jakby zaglądała w okna i wałęsała się u węgłów. Tam i sam mijamy plant kolejowy. Kolej Mława, Iława, Prabuty, Susz, Kwidzyn, Sztum, Malborg, Gdańsk. To jest kręgosłup, wiążący Gdańsk z Warszawą i Krakowem. To jest splot wszystkich nerwów, któryby ową twardą i surową, rolniczą młodzież w Sztumskiem, mówiącą napoły zniemczonym językiem, związał z poezyą Mickiewicza, z teatrem Wyspiańskiego, z obrazami Matejki i muzyką Szopena. Zawrotnie, ciemnemi polami niósł nas samochód, dwu fantastów, knujących wciąż tę samą «fantastyczną» myśl o zjednoczeniu ojczyzny. To samo znów, co było w czasie wojny w Zakopanem za panowania Enkaenu, zegnało nas do kupy, choć każdy swojemi,

upartemi oczyma na świat patrzy. Jedna fantazya naszego programu już się nam ziściła. Już tam w nocnej ciemności światełka daleko — daleko połyskujące, to Polska niepodległa, murowana, zjednoczona: to za Wisłą Tczew, Gniew, Grudziądz. Doświadczeni politycy, przemądrzali wodzowie mas ludzkich nie chcieli wówczas ani wiedzieć, ani słyszeć, ani nawet w swych statystykach podawać do wiadomości takich «fantazyj», jak Tczew, Gniew, Grudziądz. Na tydzień przed ową nocą widzieliśmy byli ziszczony romans poetów.

Z gościnnego domu państwa Kowalskich w Górkach (Gorken) pod samym Kwidzynem, gdzie wkrótce utworzyła się kwatera główna komitetu, udaliśmy się w drugą z kolei drogę, na południe, do Iławy (Deutsch Eylau). Zwiedziliśmy Prabuty i Susz, miasta zniemczone do gruntu, gdzie procent świadomych Polaków jest nieznaczny, aczkolwiek, jak gdzieindziej, na szyldach widnieją liczne polskie nazwiska. Parafia katolicka w Prabutach (Riesenburg) na kilka tysięcy ogółu wyznawców liczy mały stosunkowo odsetek Polaków, jednak nabożeństwo odprawia się po polsku w każdą drugą niedzielę. Świadczy to o zjawisku, które się już w Kwidzynie ujawniło na wiecu. Ludzie ubodzy, zahukani, podają się za Niemców z trwogi i konieczności życiowej, przyduszeni żelazną pięścią panów kraju, albo pracodawców, opartych o państwo. Lecz w głębi duszy, w rozmowie z Bogiem są jeszcze sobą, to znaczy Polakami.

Gdyby kto w mieście Suszu poprzestał na obejrzeniu zewnętrznem rynku i ulic, byłby przekonany, że miasto jest

czysto polskie, tyle w niem nazwisk polskich. Tymczasem jest ono, jeszcze bardziej niż Prabuty, podniemczone. W okolicy Susza leżą olbrzymie dobra magnatów: Dohna-Finkenszteina, braci Oldenburgów, hr. Brüneck i t. d., podpór tronu Hohenzollernów, przyjaciół eks-cesarza i eks-następcy tronu, najwytrwalszych ostoi niemiecko-pruskiej reakcyi. Tam to, jak wieść niesie, uknuty został zamach Kappa i tam się gotuje do nowego skoku ostatnia krzyżacka energia. Cóż więc dziwnego, że miasta, położone wśród tak przemożnych czynników i wpływów, zależne na każdym kroku od dostaw tych olbrzymich wytwórni zboża i mleka, zachowują swą narzuconą pruską fizjognomię? Najbardziej zniemczona jest bodaj Iława, położona w pobliżu granicy polskiej. Operuje tutaj hakatyzm wojujący i nieprzebierający w środkach. Tu, zdaje się, pali się ognisko oddziaływania na pobliskie już wsie Mazurów. Odłam komitetu plebiscytowego, działający w Iławie, złożony z ludzi młodych, inteligentnych i przejętych gorącem polskiem uczuciem, ma tu do zwalczenia najgorsze bodaj przeszkody. Po zapoznaniu się ze stosunkami, które nam urzędnicy komitetu ułatwili przez swe referaty, ruszyliśmy w powrotną podróż, obok prześlicznych mazurskich jezior, wśród lasów i równin.

Wykręciliśmy naszą drogę z Prabutów na szlaki boczne, do wiosek polskich we wschodniej części powiatu sztumskiego. Niezrównany nasz przewodnik, ksiądz Rudolf Nowowiejski, był tu w swoim żywiole, bo na rodzinnych terenach. W pewnej małej miejscowości, którą oznaczę literą M., widzieliśmy niesłychane zjawisko, iż jeden

jedyny człowiek, którego nazwiska ujawnić nie można, zdołał wytrwałą swą pracą obudzić ze snu niemieckiego całą osadę, a dzieciom poprostu nadać duszę polską. Mijając osady, leżące na uboczu od głównego traktu, widzieliśmy gospodarkę chłopską, chaty takie same, jak w głębi rodzinnego kraju. Z tych chat witano nas wszędzie okrzykiem na cześć Polski. Pod wieczór tego dnia, czyniąc zadość wielokrotnemu zaproszeniu, zajechaliśmy do Buchwałdu, majątku p. Donimirskiego, rodzonego brata Antoniego Donimirskiego, niegdyś współredaktora «Słowa» i jednego z promotorów ruchu kooperacyjnego w Kongresówce. Mieliśmy tutaj obraz gospodarstwa wielkofolwarcznego i wielofolwarcznego, z uprawą i produkcyą rolną, stojącą na wysokim poziomie. W starym dworze Buchwałdu, gdzie nasz uprzejmy gospodarz pięćdziesiąt lat osobiście przepracował wśród wszelkich burz, przemian i przewrotów, słyszeliśmy najciekawszy, jaki być może, wykład stosunków istotnych, realnych, niewątpliwie dokładnych i ściśle konkretnych. Do tego starego dworu, gdzie człowiek, gorliwie pilnujący swego zagona, z głębokiem wzruszeniem wyznaje, iż jeszcze nie miał szczęścia oglądania na własne oczy żołnierza polskiego, zdala i ze wszech stron zbliża się Polska. Ten dach przetrzymał wszelkich Bismarcków i Bóg wie jak zaciekłych landratów. Tegoż dnia zdążyliśmy jeszcze przed zmierzchem do Waplewa, ażeby przez chwilę napawać się pięknem jego parku i rzucić okiem na dzieła sztuki, istotnie bezcenne, zgromadzone w starym pałacu. Jak piękny sen z dalekiego regjonu ukazał się nam świat zamknięty w

drewnianej szkatułce z listami Zygmunta Krasińskiego do Adama Sołtana.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronie autora: [Stefan Żeromski](#).*

V

Nie poeci i fantaści, nie «ludzie uczucia», lecz właśnie ludzie najrealniejszego sposobu myślenia, którzy przez niemieckie druty kolczaste, zatoczone dookoła ich siedzib, przebili się do Polski, twierdzą stanowczo, iż Malborg w parę lat stałby się miastem polskiem, ostoją polskości. Jakimże sposobem taki cud mógłby się dokonać? Bo do dziedziny cudów należałoby odsunąć podobne wywrócenie wszystkiego na nice. Malborg posiada wielkie cukrownie, które przerabiają buraki, wyprodukowane na Warmii i Pomezanii. W malborskich cukrowniach pracują w ogromnej przewadze robotnicy polscy. Dziś ten żywioł jest lekceważony. Ugniatają go w swych rękach, jak chcą, właściciele Niemcy. Pod względem społecznym żywioł ten tkwi w objęciach socyalizmu urzędowego niemieckiego, który co do walki z polskością idzie ręka w rękę z partjami najbardziej wstecznemi.

Niemcy w Malborgu tworzą jeden obóz. Samo przez się nasuwa się tutaj pytanie: gdzież jest i co robi polska partya socyalistyczna? Czemu jej zawzięci agitatorowie nie pracują w Malborgu? Dla czego tam nie widać walki, pochodów i sztandarów P. P. S.? Są przecież robotnicy, są ludzie żywi, jest tak paląca, tak rozżagwiona sprawa plebiscytowa, są masy, czekające na żywe słowo, na mężnych i ofiarnych ludzi, którzyby mogli wielkiego dokonać dzieła, zorganizowawszy robotników polskich w

Malborgu i wielką sprawę wręczyliby w ich ręce. Tam, gdzie potrzeba pracy ofiarnej i zuchwałej, głucho dziś o P. P. S. Przynajmniej na tym terenie plebiscytowym, który widziałem, nikt o tej partyi nie słyszał. Gdyby cukrownie malborskie przeszły na własność Polaków, gdyby żywioł robotniczy został przez jakąś partyę robotniczą polską zorganizowany, wszystko przekręciłoby się do góry nogami. Kupcy w Kwidzynie, Sztumie, czy Malborgu, pozostawieni na peryferyi państewka północnoniemieckiego ze stolicą w Królewcu, straciliby wszelaką racyę egzystencyi. Przeciwnie, po przyłączeniu tych miast do ogromu polskiego, przeciętego przez kolej Warszawa — Mława — Iława — Malborg — Gdańsk, staliby w ogniu handlowego ruchu, obsługiwaliby obszary szerokie i czerpali soki z wielkich obszarów. Przezorni Niemcy w Iławie, pomimo tak buńczucznej miny i tak zawadyackich pogróżek, spiskowania, zbrojenia się i nasadzania bojówek po wioskach, już dziś, pono, zwijają manatki, właśnie na wypadek przegranej Polaków. Horoskopy bowiem nie są dla interesu dobre na wypadek wygranej niemczyzny w hazardzie plebiscytu. Miasto Gdańsk, tak dziś harde i wyniosłe, pokazujące na każdym kroku Polsce zęby i kopyta, inaczejby przemówiło, gdyby wielkie, żyzne tereny, leżące z prawej i lewej strony kolei Mława — Iława — Malborg — Gdańsk, tereny, które Gdańsk żywią, należały do Polski. Te obszary, miasta, przez które najżywsza i najkrótsza arterya biegnie z Polski do Gdańska i do morza, są to narządy życia dla naszego państwa. Kto chce mieć w Gdańsku port i wyjście na

morze, ten musi posiadać w dzisiejszych warunkach kolej Mława — Iława — Kwidzyn — Malborg — Gdańsk i ziemie do tej kolei przyległe. Te role obsiewa żywy, twardo i rozumnie pracujący rolnik polski, oraz pierwszorzędne, najbardziej wzorowo prowadzone gospodarstwo wielkofolwarczne. Pomyślmy tylko: gdyby tak nasi mili sąsiedzi, Czesi, mieli do zdobycia kraj jednoplemienny, do gruntu polski, — pięćkroćstotysięcy Mazurów, — gdyby mieli do zdobycia ziemię sztumską, Warmię i Pomezanię, obszary, w których zakolu leży święte pole Grunwaldu, gdzie tkwi owa kula Jagiełły, wyrzucona na Malborg, — czyby czynili to, co my czynimy? Jakiż śmiech pomyśleć, że nie zdobywszy jeszcze granic zachodu i północy, takie ziemie mając zajechane i wyszarpane przez Niemców w ich niebezpiecznem zazębieniu, — my krwią bohaterską naszych rycerzy zlewamy teraz przyczółki mostowe na Dnieprze i zdobywamy rzekę Soszę! W pogardzie ma Polskę cały świat robotniczy zachodu. Wdaliśmy się w siepaniny z Moskwą, zaniedbując zachód i morze. Na zachód i północ macha się ręką i powiada: — «to trudno», — albo powiada się: «to wina koalicyi», — albo powiada się: — «to tam dziedzina i ingerencya Korfantego», — albo wreszcie: «toby nam groziło wojną z Niemcami»... Jakiekolwiek są zasady i zbrodnie Moskwy dzisiejszej, jest faktem niezaprzeczonym, że ta Moskwa dzisiejsza złożyła uroczystą deklaracyę niepodległości Polski. Panowanie Niemiec nad nami grozi na każdym kroku. Niemiec odgraża się nam na terenach, które posiadamy, a cóż mówić o terenach plebiscytowych! Niemiec w żywe oczy przeczy,

jakoby Mazur pruski mówił po polsku. Według niego Mazur jest potomkiem Gotów, a mówi po mazursku. Mowa Kaszubów to nie jest dyalekt polski, lecz jest to język kaszubski. Ślązak nie mówi po polsku, lecz po waserpolsku. Niemiec reakcyonista, czy socyalista, wciąż nas ćwiartuje w swych planach, dzieli i rozszczepia. W okolicach Prabutów i Suszu jest to gniazdo, które zagraża nietylko nam, lecz całej Europie. Ziemie tych junkrów, knujących wciąż zamach na Europę i jej kulturę, powinny przypaść ludowi polskiemu, który w samem Królestwie ma pośród swego ogromu trzy miljony zgórą ludzi bez ziemi i bez dachu. Biada nam po tysiąckroć, jeśli w tej straszliwej godzinie nie okażemy się narodem, świadomym swego celu i sensu swego życia, w tej godzinie, kiedy ma się zdecydować los pokoleń przyszłych! Biada nam po tysiąckroć, jeśli teraz opuścimy Mazurów i zaprzedamy w niemiecką niewolę braci z pod Kwidzyna i Sztumu, — jeśli teraz nie zdobędziemy Iławy, Kwidzyna, Malborga.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Stefan Żeromski.*

TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ POMORZA

Gdy we wschodnią ścianę Rzeczypospolitej uderza wróg polskiej wolności i gdy cały zaiste naród w uniesieniu ducha porywa się, ażeby wałem ciał zastąpić drogę najeźdźcom, — jednym z najpilniejszych aktów przezorności powinno być ubezpieczenie granic zachodnich, gdzie na zazębieniach narodu o naród ma dopiero stanąć zrąb ściany wskrzeszonego państwa. Rzeczpospolita nie ma na zachodzie mocnej granicy. Słomą kryte chałupy wieśniacze i brzmienie mowy słowiańskiej, której wróg zadeptać nie zdołał, stanowią jedyny szlak graniczny ojczyzny. Patrzyliśmy z jękiem rozpaczy w ciągu tych dni, jak wielka połać mazurskiego ludu, który mowę polską w ciągu wieków przechował, samochcąc od nas odpadła i zapisała się z dobrej woli w obcą niewolę. Jednym z bezpośrednich powodów tej klęski jest stan rzeczy jaki sami wytworzyliśmy na Pomorzu. Otrzymane z użyczenia losu wybrzeże morza, zaniedbywane zawsze w ciągu naszych dziejów, tak wyraźnie teraz lekceważymy, jakbyśmy postanowili nanowo je utracić. Powinniśmy byli przynieść na to wybrzeże wszystko, cokolwiek najlepszego, najcnotliwszego i najdostojniejszego Polska w niewoli swej zdobyła i posiadła. A oto przynieśliśmy coś tak nędznego, iż rybacki lud wybrzeża po paru zaledwie miesiącach

państwowego współżycia z nami płaci drwiną lub zniewagą za wszystko, co idzie z Polski. Zawód rybaków i rolników Pomorza nie jest, widocznie, bez głębokiej przyczyny, jeżeli w Sejmie ustawodawczym wybucha rumor protestów i powszechnego oburzenia względem wojskowych i administracyjnych zarządzeń władz tej prowincyi, — jeżeli zachodzi potrzeba wysłania z ramienia wojskowości doraźnie specyalnej komisyi, która ma zbadać postępowanie czynników wojskowych i administracyjnych, a nawet posiada pełnomocnictwo do wydawania zarządzeń obowiązujących, — zupełnie, jak ongi w carskiej Rosyi.

Na wielkim wiecu w Gdyni, zorganizowanym w d. 8 lipca b. r. przez Polaków stale lub czasowo na Pomorzu przebywających, z ust uprawnionych przedstawicieli kaszubskiego ludu padały pod adresem polskich władz i urzędów oskarżenia o przekupstwo, bezmyślność rozporządzeń, o brutalną soldateskę wojskowości i biurokratyczny bezrząd. Słuchaliśmy tych inwektyw z zaciśniętemi zębami. Zarówno bowiem w wypadkach prawdziwości cytowanych szczegółów, jak w wypadkach nieścisłości czy przesady w opisie wydarzeń, skargi te znamionują grozę położenia. Wróg ze wszech sił rozdmuchuje i podsyca płomyk zarzewia niechęci kaszubów nadmorskich do Polski. Nie należy tej sprawy zostawić tak, jak dziś jest, w stadyum beztroskliwego odsyłania papierów z zażaleniami z biura do biura, ani w stadyum przewlekłych komisyi i rewizyi. Pragnąc ze wszech sił przyczynić się do wyniszczenia złego, stali mieszkańcy Pomorza i czasowo bawiący tutaj przybysze z

kraju związali się na wiecu w Gdyni w nieprzerwanie działające «Towarzystwo Przyjaciół Pomorza.» Zadaniem «Towarzystwa» będzie obrona rybaków i rolników tej krainy w obliczu wszelkiej niesprawiedliwości i ucisku, popieranie u władzy ich uzasadnionych żądań, udzielanie wszelkiej pomocy materyalnej i moralnej natury w dążeniu do wyższej i lepszej formy życia przez zapoczątkowanie i ułatwianie zyskownego dla nich handlu z Polską płodami ich pracy, szerzenie ruchu kooperacyjnego, dostarczanie im narzędzi i materyałów do zawodowych przedsięwzięć, a nadewszystko przez szerzenie wśród tego ludu nauki, kultury i sztuki polskiej. — «Towarzystwo Przyjaciół Pomorza» chce uzupełniać wykształcenie przedszkolne dzieci i pozaszkolne młodzieży, zakładać w miastach i po wsiach biblioteki, urządzać w ciągu całego roku wykłady, odczyty, pogadanki, pokazy, wystawy, koncerty, zakładać stowarzyszenia i kółka samokształcenia się, zespoły śpiewackie, gimnastyczne, skautowskie i inne. «Towarzystwo Przyjaciół Pomorza» zwraca się obecnie z apelem do całego narodu o pomoc i poparcie w tej sprawie pierwszorzędnej doniosłości. Nie będzie się ono zadowalniało jedynie pisaniem skarg i memoryałów, oraz zabieganiem u biurokratycznych możnowładców, lecz będzie szukało natychmiastowej i bezpośredniej pomocy w tej sprawie u samego narodu, u tego narodu, który dziś stał się armią i wszystkiem swojem jestestwem staje do walki o wiekuisty byt całej ojczyzny.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Stefan Żeromski.*

NA PROBOSTWIE W WYSZKOWIE

Podczas srogiego deszczu, który lał, w istocie, jak z cebra, pomknął z pustych ulic Warszawy automobil należący do Oddziału Drugiego Inspektoratu Generalnego Armii Ochotniczej, dając w swem wnętrzu schronienie przed ulewą prof. Ferdynandowi Ruszczycowi, p. Adamowi Grzymale-Siedleckiemu, p. Modzelewskiemu wraz z jego aparatem kinematograficznym, niżej podpisanemu, oraz dwu szoferom. Papiery podróżne wyznaczały kierunek na teren operacyjny frontu północnego. Skacząc, jak piłka, po kamiennych bulwach przedmieść Pragi, doskonały pojazd wydostał się na szosę radzymińską, na ów niepozorny szlak, co przed dwoma tygodniami ściągał na siebie oczy całej Polski, a nawet oczy całego świata. Miałem już był zaszczyt poznać tę drogę przed dwoma dniami, wśród podrygów sroższego rodzaju w automobilu ciężarowym wraz z korespondentem pism francuskich p. Genty, p. Irzykowskim, Pilarzem i Mierzyńskim, bez dotarcia do zamierzonego celu, gdyż popsuta rurka motoru udaremniła wówczas wyprawę. Ślad krótkotrwałych walk można było dostrzec tuż za ostatniemi umocnieniami z drutu i szeregiem rowów na pobrzeżu lasów, a przed szerokiemi błotnemi rozlewiskami: wzdłuż traktu ciągnęły się ciemne znaki schronów ziemnych równolegle i symetrycznie wykopanych przez żołnierzy bolszewickich. Raz wraz

przerywały jazdę popsute mosty. Gdy jeden z takich byłych mostów wypadło objechać, zbaczając z traktu na łąkę, automobil zarznął się w rozmiękłe od ulewy pastwisko i w oczach, niemal, coraz głębiej zapadał. Trzeba było opuścić jego suche wnętrze i podczas najzacieklejszej nawałnicy windować ciężkie pudło do góry. Na szczęście żołnierze, zatrudnieni przy naprawie mostu przyszli z pomocą panom szoferom. Zapadnięte koła, przy użyciu lewara, który los szczęśliwy tam zesłał, wydobywano z błota i podsuwano pod nie deski, aż cały samochód wydźwignięto na grunt stalszy. Nim jednak to nastąpiło, ulewa przemoczyła nas wszystkich do szpiku kości. Stojąc wśród mokradła, mieliśmy wrażenie, iż sami na wzór samochodu, w topiel się zanurzamy. Nieskończone wozy trenu, oddziały konnicy i piechoty, ciężkie automobile ze sprzętem wojennym, pojazdy wracające z rannymi utrudniały, dalszą drogę, gdy już stanęliśmy znowu na bitym trakcie. Gdy wreszcie ruszyliśmy dalej, dosyć zgodnym chórem, mimo przekonaniowych różnic, szczękaliśmy zębami. Wkrótce ukazał się Radzymin ze zgliszczami w środku rynku jeszcze dymiącemi, z domami poprzewiercanemi od pocisków i cmentarną pustką, która legła w zbombardowanych placach i zaułkach. Z Radzymina posunęliśmy się już żywiej do Wyszkowa. Zbliżając się do tego miasteczka, spostrzegliśmy most na Bugu w stanie opłakanego zniszczenia. Trzeba było przeprawić się za rzekę przez most kolejowy, a więc znowu windować samochód po głębokim piasku i przepaścistych wybojach. Gdy wreszcie dotarliśmy do środka miasta, objaśniano nas w wojskowej komendzie,

iż generał Józef Haller bawi właśnie na probostwie. Zziębnięci i zmoczeni, postanowiliśmy szukać gościny u proboszcza. Indywidua z nogami gruntownie przemoczonemi i bielizną, która przejmuje dreszczem za każdem poruszeniem ciała, nie są w stanie przykładać należytej wagi do czci najwyższych dostojeństw, tytułów najbardziej zasłużonych, a nawet w sposób godziwy szanować cudzego prawa do posiadania domu i jego ciszy. Co gorsza, w każdym z takich przemarźlaków budzą się niezdrowe i surowo zakazane rojenia o natychmiastowości kielicha tęgiej gorzałki, — gdyby nawet był, jak niżej podpisany, wieloletnim i aż do znudzenia wytrwałym antyalkoholikiem. Na szczęście, drzwi mieszkania proboszcza w Wyszkowie, księdza kanonika Mieczkowskiego, same się gościnnie otwarły, gdy zameldowano gospodarzowi ludzi przemokniętych. Zastaliśmy w dużym pokoju, oprócz wiekowego plebana i jego wikaryusza, księdza Modzelewskiego, — generała Hallera i ambasadora francuskiego, p. Jusseranda. Trafiliśmy właśnie na sam środek relacyi kanonika o pobycie w jego domu w ciągu ubiegłego tygodnia «rządu polskiego» z ramienia Rosyjskiej Republiki Rad, złożonego z rodaków naszych — dr. Juljana Marchlewskiego, Feliksa Dzierżyńskiego i Feliksa Kohna. Trudno było wśród zagadnień tak wysokiego poziomu, jak zmiana rządu, systemu społecznego i natury rządzenia w Polsce, jak wywrócenie do góry nogami całego administracyjnego współżycia warstw społecznych, wyjeżdżać z poziomą prośbą o wyżej wzmiankowany kieliszek kminkówki, a

choćby «czystej». Na szczęście ksiądz wikary, powodowany starą zasadą gościnności, której tak wielkie fenomeny wojny nie zdołały wywrócić, zarządził postawienie przed każdym z nas szklanki gorącej herbaty. Co więcej — w cukiernicy, która, jak ziszczenie pięknego marzenia, z ręki do ręki krążyć poczęła, oczy nasze ujrzały na jawie cukier kostkowy w najlepszym gatunku i pokaźnej obfitości kawałków. Ksiądz wikary, nie przerywając bynajmniej poważnego dyskursu ambasadora Jusseranda z księdzem kanonikiem Mieczkowskim, zdołał szepnąć nam, przybyszom do ucha:

— Proszę brać, proszę śmiało!... To cukier p. Marchlewskiego, zostawiony przezeń w popłochu ucieczki...

O, dziwna, przedziwna niekonsekwencyo wszystkiego pod utwierdzeniem! O, śmieszności rzeczy wysokich, gdy nie mogą ustać własną swoją przyrodzoną potęgą!...

Wejrzawszy na ów cukier, tak doskonały, poczułem się oto nagle jego prawowitym właścicielem i trzy conajgrubsze kawałki wrzuciłem odruchowo, ku zgorszeniu obecnych, do szklanki. Zapijając gorącą herbatę, jak przez sen przypomniałem sobie postać d-ra Juljana Marchlewskiego. Pierwszy raz widziałem go niegdyś, przed wieloma laty w pracowni bibliotekarskiej Rapperswylu, w izbie na drugiem piętrze, o prastarem, niskiem sklepieniu, ciasnej i zapchanej mnóstwem książek, katalogów i rękopisów. Pewnego zimowego dnia przyjmowałem i obsługiwałem, jako bibliotekarz, Różę Luxemburg i Juljana Marchlewskiego. Czyż można było wówczas przypuścić, że

w tych niepokaźnych figurach dwojga wywołańców, zbiegów, emigrantów obsługuję przyszłą męczennicę spartakowskiej rewolucyi, zamordowaną w bestyalski sposób na ulicach Berlina przez rozjuszoną ludność, — oraz przyszłego wielkorządcę naszej biednej ojczyzny, — krótko, coprawda, sprawującego swą nad nami władzę i, jak dotychczas, w niepokaźnym Wyszkowie. Nasycając się niezrównanym gorącem i zatapiając z lubością w smak bolszewickiego cukru, przypomniałem sobie nadto, że przecież dr. Juljan Marchlewski to jest mój szanowny wydawca. Posiadam stos jego listów, w których na licznych arkuszach spisane są statuty, umowy, kontrakty co do tłomaczenia pewnych moich pisanin na język niemiecki. Ponieważ, mimo owych statutów i wieloparagrafowych kontraktów, zapewniających mi niebyle jakie korzyści materyalne, — mimo, iż przekład niektórych utworów został wyczerpany, gdyż nabywca imprezy wydawniczej d-ra Juljana Marchlewskiego, Petzold, zwracał się do mnie z prośbą o prawo wydania nowej edycyi tegoż przekładu, — z owych szeroko opisanych i solennie zapowiedzianych korzyści materyalnych mam w zysku tylko cenne autografy d-ra Juljana Marchlewskiego, poczułem się, jak powiadam, prawowitym właścicielem cukru, zostawionego przezeń w Wyszkowie i, na rachunek ewentualnych, da Bóg doczekać, honoraryów, wpakowałem do drugiej szklanicy herbaty łaskawie podanej przez domowników księdza Mieczkowskiego, nowe trzy kawały bolszewickie. Opiły i rozgrzany przypomniałem sobie drugiego z wielkorządców — Feliksa Kohna. Widywałem go na procesie Stanisława

Brzozowskiego w Krakowie, jako jednego z sędziów. Postać wywiędła, zniszczona, człowiek jakgdyby ze mgły, o twarzy sympatycznej nerwowego utopisty, — bohater warszawskiego «Proletaryatu». Jeden z tych, których dumne cienie w kajdanach widywało się na zbiorowej fotografii «proletaryatczyków» w izbach socyalistów. Trzeciego — Feliksa Dzierżyńskiego — mam szczęście nie znać osobiście. Nigdy nie byłem w promieniu jego jurysdykcyi i cieszę się świadomością, iż nigdy nie widziałem ani, jego twarzy, ani nie dotykałem ręki krwią obmazanej po łokieć, ani słyszałem wyrazów, z jego ust wychodzących. Wyznaję, iż to imię i nazwisko, wymówione w mej obecności, sprawia na mnie obmierzłe wrażenie duszności i jakby torsyi. Ci tedy trzej mężowie, gotujący się w cichym domu ustronnego probostwa do odegrania wielkiej roli na placach, tylekroć przez obcy najazd zdeptanych i w gmachach Warszawy, tylekroć znieważonych przez cudzoziemca, — byli przedmiotem ożywionej rozmowy. Generał Haller tłomaczył ambasadorowi Jusserand'owi na francuskie opowieść księdza kanonika. Proboszcz wyszkowski poznał był całkowitą ideologię bolszewizmu z jego strony zasadniczej, dogmatyczno-ideowej, jakby teologicznej, «pryncypialnej». Ponieważ miał możność prowadzenia z trzema dyktatorami in spe długich rozmów, zdawał tedy sprawę z ich przebiegu. Pan Jusserand troskliwie notował sobie co ważniejsze szczegóły i najbardziej soczyste wyrzeczenia. Trudno by tu było powtarzać te lokucye i dyskusye na temat wolnej woli, rewolucyi, moralnego posłannictwa siły

jednostek obdarzonych świadomością i wiedzą dobra, zwłaszcza, iż podane z ust do ust mogłyby stracić na prawdziwości i dokładności. Zresztą — tyle już razy o tych rzeczach pisano! Przyszli władcy Polski i Warszawy, według relacyi wszystkich obecnych, byli otoczeni silną strażą, która z nabitą bronią pilnowała ich kwatery na plebanii, jeździli znakomitym i wytwornym automobilem, jedli i pili doskonale, spali wygodnie. (Zawsze zadaję sobie pytanie, czem też ludzie tego rodzaju, zarabiają na to dostatnie życie? Głosząc zasady prawa, opartego jedynie na pracy, sami stoją na poziomie wszystkich zwyczajnych władców, którzy swe stanowisko odziedziczyli, lub posiedli na mocy; takiej lub owakiej intrygi).

Szyby okien na probostwie były powybijane przez kule. Stojąc przy jednem z tych okien i przez dziurę w szkle patrząc w cichy ogród, dziwiłem się, ile to w tem zaciszu w ciągu krótkiego czasu dokonało się przemian. Ludzie, o których była mowa, jakby żywe kształty abstrakcyjnych idei przychodzili i odchodzili, przeciągali przez to mieszkanie, przynosząc ze sobą istne kłęby inwektyw, skarg, marzeń, złudzeń, obłąkań, — mówili o tyranii, krzywdach, morderstwach, torturach, przekleństwach i śmierci w rozpaczy, nie spostrzegając wcale, iż sami wdrapują się na tę samą wyniosłość, wyślizganą, przez męczeńskie kolana i że zemsta cierpiących wpycha im znowu w ręce berło tyranii...

Któż to byli ci trzej goście, którzy w tych izbach mienili się rządem polskim? Czy ich lud polski wybrał, czy ich ktokolwiek na tej ziemi mianował? Lud polski, czy naród polski, tak rozumiany, jak to jest w ich zwyczaju, nie naznaczał żadnego z nich na godność, którą sobie wybrali. Naznaczeni zostali przez kogoś zwyższa, w obcym kraju, w swym zespole, w swej partyi. Jako takich możnaby ich nazywać tylko komisarzami w znaczeniu, jakiego ten wyraz nabrał w opinii ludowej polskiej podczas długoletniej działalności komisarzy «po krestjańskim diełam», za poprzedniej inwazyi carów moskiewskich na ziemię polską. I tamci stawali przecie w obronie ludu polskiego wobec ucisku szlachty. Tamci także opierali pomoc swoją dla chłopów polskich na nieprzeliczonej ilości bagnetów. Jedna tylko różnica: tamci komisarze nie byli z naszego rodu. Krew polska nie płynęła w ich żyłach. Ci rodacy dla poparcia swej władzy przyprowadzili na nasze pola, na nędzne miasteczka, na dwory i chałupy posiedzicieli, na miasta przywalone brudem i zdruzgotane tyloletnią wojną — obcą armię, masę, złożoną z ludzi ciemnych, zgłodniałych, żądnych obłowienia się i sołdackiej rozpusty. W pierwszym dniu wolności, kiedyśmy po tak strasznie długiej niewoli ledwie głowy podnieśli, całą Moskwę na nas zwalili. Na ich sumieniu leżą zgwałcenia przez dzicz sołdacką naszych dziewcząt i kobiet. Na ich sumieniu leży zniweczenie nie zasobów i skarbów materyalnych, bo te mają wartość względną i mogą być powetowane, lecz

zniszczenie zabytków przeszłości, unikatów, pamiątek po pradziadach, ojcach, dzieciach, potłuczenie kulami witraży i dzieł sztuki, bezmiernym trudem artystów wykonanych w kamieniu, drzewie, metalu, malowideł i tworów ludzkiego marzenia, utrwalonych w opornym materyale, które rzesza ciemna z moskiewskich rozłogów tutaj przygnana zdruzgotała, rozkradła, uszkodziła i uniosła, a które już nigdy ludzkich oczu cieszyć nie będą. Są bowiem przedmioty nie zbytku, lecz czystego artyzmu, które mają wartość wyższą, niż wszystko, które winny być niedotykalne, niedostępne, ponieważ mówią do nas z wieczności o wieczności, zamkniętej w nas samych. Za zniszczenie tych przedmiotów ci komisarze są odpowiedzialni. Oni to te wszystkie pisma, druki, zabytki i rzeczy sztuki podali do rąk nic niewiedzącego motłochu.

Zachodzi pytanie, jakim się to mogło stać sposobem, że, jak niegdyś carscy komisarze, tak obecnie sowieccy komisarze, znaleźli drogę do naszych miast i wsi, do naszych kościołów, domów i skarbów sztuki? Jakim się to stało sposobem, że zarówno tamci, jak ci, to tu, to tam znaleźli posłuch u naszego ludu? Trzeba to wyznać otwarcie i bez osłony, że lenistwo ducha Polski, cudem z martwych wskrzeszonej, ściągnęło na tego ducha batog bolszewicki. Polska żyła w lenistwie ducha, oplątana przez wszelakie gałgaństwo, paskarstwo, łapownictwo, dorobkiewiczowstwo kosztem ogółu, przez jałowy biurokratyzm, dążenie do karyery i nieodpowiedzialnej władzy. Wszystka wzniosłość, poczęta w duchu za dni niewoli, zamarła w tym pierwszym dniu wolności. Walka o

władzę, istniejąca niewątpliwie wszędzie na świecie, jako wyraz siły potęg społecznych, partyi, obozów i stronnictw, w Polsce przybrała kształty monstrualne. Nie ludzie zdolni, zasłużeni, wykształceni, mądrzy, których mamy dużo w kraju, docierali do steru władzy, lecz mężowie partyi i obozów, najzdolniejsi, czy najsprytniejsi w partyi, lub obozie. Jak po spuszczeniu wód stawu, ujrzeliśmy obmierzłe rojowisko gadów i płazów. Gdy to dostrzedz mógł każdy na widowni publicznej, w głębiach pozostało to samo, co było za dni niewoli. W samem Królestwie żyje olbrzymia armia ludzi bezrolnych i bezdomnych. «Rocznik Statystyczny Królestwa Polskiego» z roku 1914 opracowany pod kierunkiem Władysława Grabskiego, obecnego ministra skarbu, mówi (str. 60): — «kategorya ludności, zwanej bezrolną, stanowiąca warstwę robotników rolnych, wyrobników wszelkiego rodzaju i służbę, ludność pochodzenia włościańskiego bez roli i fachu... stanowiła w r. 1901 — 18,1% wśród ludności wsi i miasteczek. Ludność bezrolna we wsiach tylko w okresie czasu od roku 1891 do 1901 wzrosła od 13,2% do 17,2% ludności wiejskiej». To nie sto tysięcy parobków, mających bądź co bądź pracę, zarobek i legowisko w czworakach, lecz półtora miliona (wówczas, w r. 1901) mieszkańców błąkało się wśród naszych wsi i miasteczek, żyjąc z dnia na dzień na komornem, nie mając gdzieby głowę skłonić. Wówczas 500,000 ludzi chodziło rok rocznie na roboty sezonowe do Niemiec, a przemysł fabryczny odciągał ze wsi i osad znaczną ilość bezrolnych. W przeciągu dziewiętnastu lat dorosło nowe pokolenie wydziedziczeńców. Emigracya

sezonowa zatamowana jest przez powojenny stan rzeczy, a przemysł fabryczny nie istnieje. Cóż uczyniliśmy dla tego olbrzymiego narodu bez roli i dachu, przykutego do roli, — dla tych komorników, wyrobników, dla tego najistotniejszego proletaryatu, którego pełno jest w naszych wsiach i mieścinach, gdy mieliśmy ręce rozwiązane z pęt niewoli i możność czynienia, co chcemy? Oto do nich przyjechali w goście trzej komisarze wyszkowscy! Daremne były głosy, żeby szerokie, wieczyste, najbardziej nowoczesne i najbardziej w owoc wydajny bogate prawo do ziemi postawić w pierwszym dniu nowego świata pracy we wskrzeszonej ojczyźnie. Nikt nie wysłuchał tych głosów. Gdyby nie było na ziemiach w jedno złączonych, przez los szczęśliwy nam danych, tych rzesz bez roli, które na miliony się liczą w samem tylko Królestwie, które do ziemi są przykute, gdyż odejść od niej nie mogą nigdzie, w prawo ni w lewo, — chyba w głąb ziemi tej, w mogiłę ziemską, — jakże by był do naszych drzwi znalazł drogę nieprzyjaciel, co walkę o dolę bezrolnych i bezdomnych za hasło swoje wypisał na sztandarze? Nie zostały wysłuchane głosy, ażeby na sztandarze Polski nowej wypisane zostało hasło nie niższe od bolszewickiego, lecz wyższe, świętsze, sprawiedliwsze, mądrzejsze, ponad śnieg bielsze. Śmiano się z głosów tych. I oto teraz na ostrzu bagnetu chińczyka, w świście nahajki kozaka, wśród turkotu kulomiotów, nastawionych przez łotysza przeciwko niewinnej, najzacniejszej w Polsce krwi, przeciwko krwi młodzieńczej, miało się nam objawiać nowe prawo, narzucone zzewnątrz, prawo wyższe, głębsze i sprawiedliwsze, niż nasze. Stał

między nami i tem wojskiem zzewnątrz przychodzącem wielomilionowy bezrolny i bezdomny lud i miał między ojczyzną i przychodniami wybierać.

O, Polacy! Niech wasze ręce składają się do modlitwy, albowiem ci bezrolni i bezdomni Polskę wybrali. To nic, że tam i sam ten i ów poszedł z rozpaczy za wrogiem. Cały bowiem lud polski poszedł w bój za ojczyznę. Opasali się pasem żołnierskim nędzarze, którzy na własność w ojczyźnie mają tylko grób, i z męstwem, na którego widok oniemiał z zachwytu świat, uderzyli w wojska najeźdźców. Od krańca ziemi polskiej do drugiego krańca, gdziekolwiek brzmi nasza mowa, jeden się podniósł krzyk: niech żyje ojczyzna! Alboż nie było tak? Alboż nie widział świat tego nieopisanego zjawiska? Zapomniane zostały wszelkie, czyjekolwiek winy i, jak Grecy pod Maratonem, zniweczyliśmy wroga. Kto w chwili najazdu moskali na kraj stawał do obrony swego pałacu, dworu, domu w mieście, swej posiadłości, mieszkania pełnego mebli, obrazów i pamiątek, swej chaty na działku ziemi, zagrody i dobytku, swej posady i stanowiska, — wiedział czego broni, broniąc ojczyzny. Lecz ten, kto nie posiadał nic zupełnie, stając do obrony ojczyzny, nie wiedział, o co walczy. Bronił przyszłego dobra w ojczyźnie. Bronił dóbr cudzych, bronił nietykalności pałacu, szczęśliwego prosperowania dworu, praw do komornego z domu w mieście, bronił mieszkań, których nigdy nie widział i nie zobaczy, bronił wreszcie władzy, która jego samego depce częstokroć bezlitosną stopą. Włościanin, posiadacz ziemi, jest, jak krzak przy drodze. Wróg może go nadepnąć,

kopnąć, poszturchnąć, obłamać jego pędy i pręty, lecz sam krzak przydrożny wnet puści nowe pławiny, odrośnie i z wiosną świeżemi liśćmi zazielenieje. Człowiek bezdomny jest, jak źdźbło nawozu karmiące zboża, jarzyny, owoce i zieleń krzaków, trawy i kwiaty najbardziej urocze. Powinno mu być obojętne, kto go w ziemię woruje, kto go depce i kto zeń soki wypija. Jeżeli ten nawóz społeczny, który my deptaliśmy, taksamo, jak nasi poprzednicy we władzy nad nim — Moskale i Niemcy, — ujął karabin i pospołu z panami, z mieszczaństwem, z inteligencyą, z gospodarzami na roli i robotnikiem fabrycznym wyruszył na wroga, w boju krwią ociekał i zwycięstwo pospołu z innymi wywalczył, to ten jego uczynek chyba nas wszystkich obowiązuje. Nie ochłap łaski, nie nagroda za przelaną krew mu się należy, lecz oddanie wszystkiego, co jest jego w ojczyźnie. Należy podźwignąć się z lenistwa ducha. Ta sama krew ofiarna i nazawsze dla nas święta, co wytrysła na polu bitwy pod Warszawą z serca bohatera narodu, księdza Skorupki, płynęła strugą z ran bezimiennych polskich żołnierzy, bezrolnych chłopów. Musimy teraz na tę krew się powoływać, wzywając naród polski do wielkich społecznych reform, albowiem ci rycerze za przyszłość Polski polegli. Precz z reakcyą! Rzucajmy, ludzie wolni, kamieniem potępienia na wszystkich pismaków, co do reakcyi wzywają, lub wzywać będą, co chcą niedolę proletaryatu bezrolnego ukryć przed narodem, zbagatelizować, zasłonić frazesami! Rzucajmy kamieniem potępienia na piastunów urzędu, którzyby reakcyę wdrażać w życie nasze usiłowali! Teraz jest chwila, kiedy Polska

może się wydźwignąć z pęt odwiecznych! Musimy teraz czynami naszymi przekonać świat, zmusić go do uznania prawdy, iż ideje, w których imię umierali nasi żołnierze w walkach z armią czerwoną, stały stokroć wyżej od praw, ukutych w ciasnym zespole oligarchów Moskwy, które nam ona chciała narzucić, jeżeli jeszcze nie wcieliliśmy ich w życie, to nosimy ich obrazy w duszach. Musimy niezbitymi dowodami odeprzeć opinię, jakobyśmy byli narodem panów i szlachty, krajem obskurantyzmu, jakoby nasza armia była «białą armią Piłsudskiego». Świat pracy na zachodzie i na wschodzie, w Anglii, we Francyi, we Włoszech, w Ameryce, i w samych Niemczech, i w samej Rosyi, musi przyznać, iż nieprawdą jest, jakoby Polska była żandarmem burżuazyjnej Europy, niosącym na ostrzu swej broni klęskę postępu świata. Nie możemy dopuścić do tego, żeby pokonanie czerwonej armii na polu bitwy w obronie granic naszej ojczyzny, w obronie naszego ludu zjednoczonego w szczep jednojęzyczny, nierozdzielny, nierozerwalny, wieczyście samowładny, w obronie naszej mowy i wolności stanowienia praw własną wolą i dla samych siebie, — stało się tryumfem warstwy bogaczów, panów, posiedzicieli, a klęską ludzi ubogich i pognębieniem szybkości postępu świata. Pokonawszy bolszewizm na polu bitwy, należy go pokonać w sednie jego idei. Na miejsce bolszewizmu należy postawić zasady wyższe odeń, sprawiedliwsze, mądrzejsze i doskonalsze. Trzeba ruszyć z posad Polskę starą, strupieszałą, gnijącą w jadach, któremi ją nasycili najeźdźcy. Sierpniowa burza, która swemi piorunami strzaskała tyle głów junackich, oślepiła na wieki

tyle oczu harcerskich, w jamę mogiły pchnęła tyle bohaterskiej energii, musi oczyścić nasze powietrze, zatrute wyziewami podłości. Po okrzyku: — do broni! — gdy pokój stanie, powinien się rozlegać od krańca do krańca okrzyk równie skuteczny, jak tamten: do pracy! jakiż to ogrom roboty! Jak nieobeszłe morze potrzeby! Stracone Mazury, stracona Warmia, Pomezania, Śląsk Cieszyński! Na Pomorzu stoją puste szkoły, znakomicie pobudowane przez Niemców, a niema w nich nauczyciela, któryby dzieciom kaszubskim w języku polskim nauki udzielał. I odwraca się od nas kaszuba. Nie jesteśmy w stanie wybudować trzydziestu kilometrów kolei z Kościerzyny do Wejherowa dla zdobycia własnego dostępu do morza, gdy nędzny Gdańsk zdradza nas, napada i znieważa. Wewnątrz kraju, gdzie tylko spojrzeć, wszystko popsute, obniżone, znędzniałe. Tyfus, czerwonka, wszy, brud, niechlujstwo, brutalstwo, kradzież, przedpotopowe obyczaje, prapiastowskie zabobony, zniszczone drogi, popalone mosty, na stacyach kolejowych, jak w chlewach, w wozach dla ludzi bestyalskie walki o miejsce stojące. W dobie gdy młode rycerstwo polskie szło po nocy w bój z Warszawy, w Warszawie paskarz najspokojniej podnosił cenę chleba...

Na odgłos strzałów, rozlegających się za Bugiem dr. Juljan Marchlewski, jego kolega Feliks Dzierżyński pomazany od stóp do głów krwią ludzką, i szanowny

weteran socyalizmu Feliks Kohn — dali drapaka z Wyszkowa. Pozostał po nich tylko wielki swąd spalonej benzyny, trocha cukru, oraz wspomnienie dyskursów, prowadzonych przy stole i pod jabłoniami cienistego sadu. Przed wyjazdem dr. Juljan Marchlewski powtarzał raz wraz melancholijnie:
«Miałeś, chłopie, złoty róg,
Miałeś, chłopie, czapkę z piór...
Został ci się ino sznur»...

Jak w wielu innych rzeczach, tak i tutaj, niedoszły władca mylił się zasadniczo. Złotego rogu Polski, wcale w ręku nie trzymał. Czapka krakowska również mu nie przystoi. Jeżeli jaki strój, to już chyba okrągła, aksamitna czapeczka moskiewska, obstawiona wokoło pawiemi piórami prędzej mu będzie pasowała. Tę już do końca życia nosić mu wypadnie. Nawet do biednego sznura od polskiego złotego rogu nie ma prawa ten najeźdźca. Kto na ziemię ojczystą, chociażby grzeszną i złą, wroga odwiecznego naprowadził, zdeptał ją, stratował, splądrował, spalił, złupił rękoma cudzoziemskiego żołdactwa, ten się wyzuł z ojczyzny. Nie może ona być dla niego już nigdy domem, ni miejscem spoczynku. Na ziemi polskiej niema dla tych ludzi już ani tyle miejsca, ile zajmą stopy człowieka, ani tyle, ile zajmie mogiła. Złoty róg Polski trzyma w ręku z przepotężnej swej siły młode narodu pokolenie. I zadmie weń lada dzień lada godzina pobudkę nową, nową pieśń życia, od której rozradują się kości pradziadów, dziadów i ojców, rozraduje się młoda krew, co

za tej burzy sierpniowej spłynęła z ran w biedną polską ziemię.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronie autora: [Stefan Żeromski](#).*

SAMBOR I MESTWIN

LESZKOWI SERAFINOWICZOWI
NA PAMIĄTKĘ ORŁOWA

Skądkolwiek objąć okiem całość gdańskiego wybrzeża, z Brzeźna, czy z Oksywskiej kępy, z pełni morza, czy z wysokiego radłowskiego szczytu, zewsząd ponad modremi smugami lasów i pozłotą zbóż na falistych pagórkach, ukazuje się wspólna wyniosła korona dwu buków pod Witominem. Samotne olbrzymy stoją na stromej górze, której jednę połowę okrywa ugór rdzawy, od mietlicy i macierzanki, a drugą złocista żytnia powłoka. Korzenie ich uszły w głąb, aż do serca duny, gdzie śnią niezmierne wapienne pokłady dna niegdyś oceanu. Pnie jakby ze stali ukute okryły się pancerzami, które osnuła rdza, śniedź i suchy mech, a zbróździły chyże płomienie piorunów, co się po tej niezłomnie opornej mocy ześlizgnęły i u podnóża jej zagasły. Długotrwałe deszcze, trzaskające mrozy, dzikie wichry, z lodowych obszarów mórz północy lecące, ryły na tych śniatach tajemne pismo przyrody, a człowiek przechodni skrobał tu byle rylcem pierwsze litery swego imienia i nazwiska, serce przebite strzałą, krzyże i niewyraźne znaki, któremi chciał upamiętnić motyli swój pobyt na ziemi, zaznaczyć chociaż w ten sposób pasye swoje, utrwalić i odtworzyć wiary, radości i trwogi,

jakikolwiek zostawić po sobie znak, któryby, sprostał długowieczności samotnych braci, na samotnej górze. Konary potężniejszego z dwu buków rozwidlają się wysoko w istny las, rozpadają w samoswoją puszczę, a najwyższe gałęzie, pędy, pręty i witki trwają splot w splot z gałęźmi młodszego brata pod pospólnym bezmiarem liści. Strażują tam wśród wzgórz i dolin, ponad sosnowymi i świerkowymi lasami, dwaj zapomniani przez świat książęta kaszubskiej ziemi. Któż to wie, — może jednemu z nich na imię Sambor, — drugiemu — Mestwin...

Widzą ze swojej wyniosłej kopy wzrokiem niedościgłym dla umysłu człowieka, jak daleko, za górami i lasami wzdyma się pod nawisłością chmur ciemna denega wichrzatego morza, a twardem wnętrzem tajnie czują połysk błyskawicy, kiedy migota między otchłanią nieba i otchłanią wodnego odmętu. Słyszą w sposób niepojęty dla umysłów człowieka, jak się budzi z nicości za dalekimi lądami potężny grzmot i na skrzydłach szalonej burzy leci w krainę. Wtedy bez drżenia czuwają dwaj nieruchomi i mężni w głuchem milczeniu. A gdy uderza w nich dziki wicher, śpiewają samowtór, samym sobie pieśń, która nie może się zmieścić w ubogiej mowie ludzi. W ich pieśni zawiera się wszystko. Tęskna pochwała piękności letniego nieba, gdy na wysokościach cicho się niosą wielobarwne obłoki ponad niską ziemią, co łanami dostałego zboża chwieje się za wiatrami — i powieść ponura o morskiej głębi, gdzie się wirem nieskończonym słone i słodkie wody zwierają, tworząc pomiędzy sobą kolk niedosięgły, czeluść

w dnie, w której na samotne męstwo rybaka straszliwa zguba czatuje. Zawiera się w niej wspomnienie głębokiej, cichej nocy, gdy śpiew słowiczy napełnia rozkoszą góry — doliny, — i widok strumienia o zachodniej godzinie, jak się błądzikiem w łąkach dalekich, wśród żółtych piasków i rumianych koniczyn przewija. Widać w szumie wspaniałych drzew wschód codzienny boskiego światła nad gładą morskiej topieli, w zawsze jednakim, a nigdy nie szczuplejącym przepychu promieni, — i śmierć okrętu, gdy go wściekła zemsta otchłani, wydziera radosnym powierzchniom, a napełnia dzikim pluskiem, chichotem zagłady. Przeszłość i przyszłość zawiera się w szumie tym, — dola — niedola, straszna niepamięć żywych po klęsce wiecznego snu tych, co muszą bez końca, nieruchomo, a nadaremnie czekać we wnętrzu czarnej ziemi, na pocałunek ukochania, — i to, co jest najwyższe, jedyne, a ze wszystkiego ostatnie — szczęście istnienia.

Gdyby człowiek był w stanie podźwignąć ciężki swój rozum na stopień wyższy, pojąć zapach kwiatów, pogwarek zbóż, poświst wiatru, gędźbę ptasią, instynkt ojcowski i macierzyński zwierząt, możeby usłyszał i zrozumiał pieśń dwu buków na witomińskiej górze. Gdyby mógł podźwignąć się duszą swą od ugorów ziemi, od twardej pracy na żyto, i wiekuiście nędznej walki o jadło, gdyby mógł unieść się nad ziemię i stanąć na wysokości konarów bukowych, bratnio splecionych... Spojrzałby stamtąd jasnowidzącymi oczyma w śmieszne przyczyny zwad i w dzieje zbrodni, zwierząt człowieczych, które nie cenią cudu istnienia, zaprzątnięte wspomnieniem wiekuistej krzywdy i

planowaniem wiekuistego odwetu. Usłyszałby tam czującą swoją wszechwiedzą ów najstraszliwszy dziejowy dokument, z pomroki czasów na łzach niewygasłego pomstowania wypływający w zwrotkach śpiewanki kaszubskiego poety:

«Ziuziu, Ziuziu, mały senku,
Zabiele cy ojca w renku,
Zabiele go za drudziemi
Toporami żelaznemi.
A w Raduni krwawo woda,
Szkoda ojca, żeco szkoda»...

Ale może wówczas człowiek byłby także zdolny do tego, ażeby pod niebem westchnąć niewinnie, jak wzdycha drzewo, — ażeby oderwać ręce od tworzywa narzędzi mordu, — ażeby przetrzeć oczy, zalane juchą wiecznie pamiętnej krzywdy praszczurów. Może wtedy stałby się zdolnym do tego, by spojrzeć w oczy wroga, zalane krwią nienawiści, wyciągnąć ramiona i po wiekach wieków wymówić wyraz, zapomniany w języku człowieczym: — o bracie!...

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Stefan Żeromski.*

O tej publikacji cyfrowej

Ten e-book pochodzi z wolnej biblioteki internetowej Wikiźródła[1]. Biblioteka ta, tworzona przez wolontariuszy, ma na celu stworzenie ogólnodostępnego zbioru różnorodnych publikacji: powieści, poezji, artykułów naukowych, itp.

W publikacji została zachowana oryginalna ortografia, oczywiste błędy w druku zostały poprawione przez redaktorów Wikiźródeł. Przypisy dodane przez redaktorów oznaczono logiem Wikiźródeł.

Wersja źródłowa tego e-booka znajduje się na stronie: Inter arma

Książki z Wikiźródeł są dostępne bezpłatnie, począwszy od utworów niepodlegających pod prawo autorskie, poprzez takie, do których prawa już wygasły, i kończąc na tych, opublikowanych na wolnej licencji. E-booki z Wikiźródeł mogą być wykorzystywane do dowolnych celów (także komercyjnie), na zasadach licencji Creative Commons Uznanie autorstwa-Na tych samych warunkach wersja 4.0[2].

Wikiźródła wciąż poszukują nowych wolontariuszy. Przyłącz się do nas![3]

Możliwe, że podczas tworzenia tej książki popełnione zostały pewne błędy. Można je zgłaszać na tej stronie[4].

W tworzeniu niniejszej książki uczestniczyli następujący wolontariusze:

- Wolan
- Lilibalu
- Sp5uhe
- Meo Hav
- Zdzislaw
- Wieralee
- NiktWażny
- Ausir
- Wyciorek
- Ajsmen91
- Cloud200
- Nostrix
- CommonsDelinker
- Ameisenigel
- Rocket000
- Boris23
- KABALINI
- Bromskloss
- Tene~commonswiki
- AzaToth

- Bender235
- PatríciaR

---

1. ↑ https://pl.wikisource.org
2. ↑ http://www.creativecommons.org/licenses/by-sa/4.0/
3. ↑ https://pl.wikisource.org/wiki/Wikiźródła:Pierwsze_kroki
4. ↑ http://pl.wikisource.org/wiki/Wikisource:Skryptorium